

TYGODNIK PRAWDA

ŁÓDŹ \ WARSZAWA \ POZNAŃ

Sprawy tygodnia

NIEMCY—POLSKA—LITWA.

W STOSUNKACH POLSKO-NIEMIECKICH daje się zaobserwować jakieś dziwne ożywienie. Najpierw ze strony niemieckiej wyszła propozycja nawiązania przerwanych rokowań gospodarczych, później nastąpiła interwencja niemiecka w Kownie, przestrzegająca przed przeciąganiem struny w stosunku do Polski i zalecająca respektowanie ducha rezolucji genewskiej z grudnia ub. roku, a jednocześnie jakby na jakiś cichy znak, prasa niemiecka zapelnia szpalty doniesieniami z Polski, według których sytuacja polityczna w naszym państwie przedstawia się conajmniej niepewnie. Wygląda to tak, jakby w Berlinie chciano jednocześnie i Panu Bogu świeczkę zapalić i diabłu ogarek postawić.

Z uważnej lektury niemieckiej prasy gospodarczej wynika, że propozycja nawiązania rokowań gospodarczych z Polską wysunięta została przez rząd towarzysza Müllera pod silnym naciskiem niemieckich sfer gospodarczych i organizacji robotniczych. Obfity dopływ kredytów zagranicznych do Niemiec w ostatnich dwóch latach stworzył dla przemysłu niemieckiego wyjątkowo świetną koniunkturę: Zakłady przemysłowe zasypane były zamówieniami, pochodzącymi od państwa, samorządów, przedsiębiorstw państwowych i komunalnych, dysponujących funduszami z niezliczonych pożyczek amerykańskich. Z drugiej strony sam przemysł realizował swoje wielkie plany reorganizacyjne i inwestycyjne, co także dostarczało pracy setkom tysięcy rąk i utrzymywało w nieustannym ruchu dziesiątki tysięcy fabryk i warsztatów pracy. W tych warunkach dla wielu gałęzi przemysłu niemieckiego zagadnienie eksportu wogóle nie istniało, gdyż wzmocniona pojemność rynku wewnętrznego pochłaniała wszystko, co tylko mogły wytworzyć.

Inaczej przedstawia się sytuacja dzisiaj. Dopływ kredytów zagranicznych jest o wiele słabszy, a ostatnie wypadki na nowojorskim rynku pieniężnym wróżą nietylko dalsze zmniejszenie się tego dopływu, ale każą ponadto liczyć się z niebezpieczeństwem licznych wypowiedzeń kredytów krótkoterminowych ze strony wierzycieli amerykańskich, którzy swoich kapitałów obecnie bardzo pilnie potrzebują na miejscu w Ameryce. Niemcy są dobrymi finansistami i umiemy przewidywać koniunkturę. Nie ulega przeto wątpliwości, że niemieckie sfery gospodarcze liczą się z możliwością poważniejszego kryzysu i z góry czynią wszystkie możliwe przygotowania, aby kryzys ten uprzędzić i skutki jego w miarę możności osłabić. W tych wysiłkach doznają usilnej pomocy i jaknajdalej idącego współdziałania ze strony klasy robotniczej, która tam, pod wpływem odpowiedzialnych i światłych przywódców, zupełnie inaczej pojmuje swój stosunek do kapitału, niż u nas. To też rząd socjalistyczny w Niemczech powitany został z nietajonym zadowoleniem przez sfery kapitalistyczne i przez ciężki przemysł niemiecki. Żaden bowiem inny rząd nie zająłby się tak sumiennie interesami gospodarczymi niemieckiego przemysłu w obliczu niebezpieczeństwa kryzysu ekonomicznego, jak uczynił to rząd socjalistyczny, nie lekając się tak bardzo demagogii nacjonalistycznej i mogący przeto przystępować otwarcie do takich spraw, których rząd nacjonalistyczny tknąłby się nie odważać, chociażby nawet drogo przyszło okupić takie negatywne stanowisko.

* * *

W OBLICZU NIEBEZPIECZENSTWA kryzysu ekonomicznego, niemieckie sfery gospodarcze musiały zwrócić uwagę na Polskę. Trzydziestomiljonowe państwo z uporządkowaną walutą, którego rynek z roku na

rok staje się pojemniejszy, to kąsek nie do pogardzenia dla eksportu niemieckiego. — Otwarcie granicy polskiej dla towarów niemieckich nie poprawi wprawdzie radykalnie sytuacji w razie większego kryzysu, ale w każdym razie kilkaset tysięcy rąk robotniczych mogłoby znaleźć pracę przy wytworzeniu towarów, dających się ulokować na rynkach polskich. (Fachowcy niemieccy obliczają, że eksport do Polski przy normalnym traktacie handlowym zatrudniałby 500 tysięcy ludzi).

Ale zawarcie traktatu handlowego z Polską, to rzecz dla Niemiec bardzo drażliwa, to przedewszystkiem pośrednie uznanie naszej zachodniej granicy. Rząd, który taki traktat podpisze, narazi się na ataki i nagankę elementów nacjonalistycznych. Tej nagance i tym atakom mógłby się przeciwstawić obecny rząd socjalistyczny, chociaż i on nie jest wolny od obaw. Nacisk jednak jest silny i potęguje się coraz bardziej w miarę zwiększania się ilości objawów, zwiastujących niekorzystny zwrot koniunktur gospodarczych. Rząd towarzysza Müllera znalazł się tedy między młotem i kowadłem: Z jednej strony nacisk czynników robotniczych, z którym liczyć się trzeba, gdyż robotnikowi niemieckiemu tania demagogia oczu się nie zamydla, oraz nacisk sfer gospodarczych i wielkokapitalistycznych, którym socjalizm niemiecki po cichu zawsze ulegał — a z drugiej strony obawa, że podjęcie rokowań z Polską rozpęta demagogię nacjonalistyczną i na nowo ożywi zamierające nastroje szowinistyczne.

Wyboru jednak niema i trzeba Panu Bogu zapalić świeczkę — trzeba spełnić żądania własnych wyborców i cichych sprzymierzeńców kapitalistycznych. Ale równocześnie trzeba rozejrzeć się za jakimś ogarkiem, któryby można zapalić nacjonalistom, aby zbyt głośno nie krzyczeli.

I oto jesteśmy świadkami reweransów rządu niemieckiego w stronę Polski. Waldemaras otrzymuje z Berlina reprimendę, oburzenie z powodu przemówień ministra Zaleskiego w Paryżu i Brukseli na temat zniesienia okupacji w Nadrenji umilkło, do Warszawy deleguje się wprawdzie D-ra Hermesa, ale podobno z ograniczonymi osobistymi pełnomocnictwami i drobiazgową instrukcją, która nie pozwala mu na zbyt dużą samodzielność i na stwarzanie poważniejszych trudności w rokowaniach, daje się wreszcie do zrozumienia, że w razie dalszego oporu ze strony Waldemarasa, Niemcy na najbliższej sesji Rady Ligi zdecydowanie staną po stronie Polski. Trzeba bowiem Polskę jaknajprzychylniej dla siebie usposobić, aby była ustępliwa przy rokowaniach i jaknajobficiej okrzykła pigułkę, którą towarzyszy Müller będzie musiał zaprezentować narodowi niemieckiemu w postaci traktatu handlowego.

A jednocześnie czyni się wszystko, aby dla żywiołów nacjonalistycznych znaleźć jakiś usprawiedliwiający pozór wznowienia rokowań z Polską. W tym celu wywleka się odłożona już nawet przez nacjonalistów ba-jeczka o „Saisonstaebe”. — o państwie sezonowym. W pismach, które do niedawna, walcząc z rządami nacjonalistycznego gabinetu, przekonywały opinię publiczną, że Polska jest państwem na serjo, że przeto jest szaleństwem i głupotą trwanie na stanowisku bojkotu gospodarczego w stosunku do niej, w tych samych pismach Polska przedstawiana jest dzisiaj tak, jak do niedawna przedstawiano Meksyk. Rządzą w niej ludzie niepo-czytalni, uprawiający taniec na krawędzi przepaści, lada chwila wybuchną w Polsce kryzysy wewnętrzno-polityczne, ani jeden fotel ministerjalny nie jest pewny, jednym słowem katastrofy są nieuniknione. W takich warunkach tylko głupcy nie skorzystaliby z okazji. Rząd towarzysza Müllera jest rządem

Cena numeru
40 gr.

Prenumerata z dostawą
do domu:

miesięcznie . . 1.35 zł.

kwartalnie . . . 4.— zł.

Konto w P. K. O. № 63.353

tegić głów i wie co robi. Nawiązuje rokowania z Polską, na Waldemarasię demonstruje wobec Polski siłę swoich wpływów, aby być na posterunku, gdy w Polsce zacznie wszystko trzeszczeć i chwiać się i aby wtedy jaknajwięcej zagarnąć dla Niemiec.

* * *

BARDZO NIE NA REKE muszą być Niemcom rewelacje o Waldemarasię, które ostatnio na łamach prasy wileńskiej publikuje niejaki p. Koziej. Ten p. Koziej był swego czasu „dypłomata” ukraińskim, jeszcze podczas wojny światowej. Po wybuchu rewolucji Kiereńskiego w Rosji, powstał, jak wiadomo, ruch wolnościowy na Ukrainie. W ruchu tym wysoce zainteresowani byli Niemcy, którzy dążyli do jaknajwiększego obezwładnienia Rosji, zmuszenia jej do zawarcia odrębnego pokoju i umożliwienia sobie eksploatawania jej bogactw naturalnych na czas trwania wojny na Zachodzie. Chodziło im szczególnie o Ukrainę, stanowiącą rosyjski śpichlerz zbóżowy. To też po rewolucji bolszewickiej i rosyjskiej propozycji pokojowej, w Brześciu nad Bugiem, oprócz delegacji sowiecko-rosyjskiej, pojawiła się, jak z pod ziemi wyrosła, delegacja rządu republiki ukraińskiej, aby także zawierać traktat pokojowy z Niemcami. Delegacja ta była z całą kurtuzą traktowana przez Niemców i wobec niej generał Holzman nigdy nie pozwalał sobie na takie wystąpienia jak wobec panów Joffego, Radka i Trockiego. Całe bowiem przedstawicielstwo owej republiki ukraińskiej składało się z mężów zaufania Niemiec lub wprost z ludzi będących na żołdzie niemieckim, którym polecono odegrać rolę delegatów niezależnej Ukrainy, aby zdobyć dla siebie mandat eksploatawania Ukrainy i narzucić sowietom w traktacie bierność wobec wszelkich niemieckich poczynań na Ukrainie.

P. Koziej był członkiem „korpusu dyplomatycznego” owej Ukrainy Brzeskiej, należał do zespołu delegacji pokojowej w Brześciu, a następnie był członkiem poselstwa tej Ukrainy w Berlinie. W czasie swojej kariery dyplomatycznej miał sposobność spotkać się z Waldemarasem i bliżej go poznać. Waldemaras był bowiem w tym okresie także dyplomata ukraińskim, był także w Brześciu, a następnie w poselstwie w Berlinie. I był właśnie jednym z tych, którzy byli na żołdzie niemieckim i z polecenia Niemiec odgrywali rolę przedstawicieli Ukrainy.

Z relacji p. Kozieja wynika jasno, że Waldemaras nie jest żadnym politykiem litewskim, tak jak nie był nigdy politykiem ukraińskim, lecz że jest poprostu funkcjonariuszem niemieckiej polityki zagranicznej, który przez Niemców wprowadzony został do polityki litewskiej i na ich rachunek gra obecnie rolę premiera-dyktatora Litwy Kowieńskiej, tak jak czasem agent policji kryminalnej, wprowadzony do jakiegoś klubu lub kółka towarzyskiego gra rolę światowca, arystokraty i t. p. — że jest aferzystą w wielkim stylu i wspaniałym narzędziem w rękach niemieckiej polityki. W historii Litwy pojawia się pierwszy raz w okresie tworzenia przez Niemców „Taryby” — litewskiej rady stanu — do której zostaje przez Niemców wprowadzony. Od tego czasu, dzięki własnym zdolnościom i sprężynom niemieckim, gra rolę litewskiego męża stanu i zdobywa najwyższe stanowiska, wkracza do polityki międzynarodowej i zajmuje swoją osobą i swoją polityką cały świat.

Jeśli szczegóły, podane dotychczas przez p. Kozieja są prawdziwe, historia tego człowieka stanowić będzie kiedyś najbardziej emocjonujący rozdział w almanachach zagadkowych egzystencji ludzkich. Zaznaczyć należy, że p. Koziej zapowiada jeszcze szereg dalszych rewelacji, dotyczących tajemniczej kariery p. Waldemarasa, ale wspomnieć trzeba i o tem, że p. Koziej — przedtem nim zaczął na szpaltach polskich pism rewelo-

Treść numeru:

POLSKA-NIEMCY-LITWA.
REWELACJE O WALDEMARASIE.
Z DYSKUSJI KONSTYTUCYJNEJ.
POŻYCZKA WEWNĘTRZNA.
CZAS LETNI.

NOWY RZĄD. Dr. Gustaw Doborzyński.
PRZEGLĄD SPRAW ZAGRANICZNYCH.
Bogusław Zabłocki.

ŚWIĘTO NARODOWE W PARYŻU.
Zygm. St. Klingsland.

IGNACY ŁUKASIEWICZ. Jerzy Braun.

NOBILE. St. Horwat.

TURYSTYKA. L. R-on.

CZTERY DZIAŁANIA.
Herminja Naglerowa.

NO, MOJA DZIDZIUCHNO. T. Brudzewski.

TEATR MIEJSKI W ŁODZI. emb.

NASZ DOSTĘP DO MORZA. K. Tyr.

BAWEŁNA. W. P.

GDYNIA-GDAŃSK. Dr. M. S.

SA RZECZY OKROPNIEJSZE OD
UPIORÓW. Violet Hunt.

RYNEK PIENIĘŻNY I GIEŁDA. Avil.

UWAGI.

KRONIKA GOSPODARCZA.

KRONIKA LITERACKA.

wać sensacje o Waldemarasię — był w Kownie, aby się przypomnieć swemu dawnemu koleźce z ukraińskiego „korpusu dyplomatycznego” i tam p. Waldemarasa podobno nie chciał go sobie przypomnieć.

* * *

Z DYSKUSJI KONSTYTUCYJNEJ.

DYSKUSJA KONSTYTUCYJNA trwa nadal na łamach prasy wszystkich prawie partii i odcieni politycznych. Istna powódź jałowej gadaniny i pustych frazesów. Zaledwie od czasu do czasu znajdzie się ktoś, kto uczciwie wyjawi swoje pragnienia i uczciwie przyzna się do motywów, dyktujących mu takie, a nie inne stanowisko.

Jednym z takich uczciwych głosów, był głos posła Mackiewicza na łamach „Słowa wileńskiego”. Poseł Mackiewicz domaga się „oktrojowania” konstytucji, t. j. wprowadzenia nowej konstytucji w życie przy pomocy dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej, który w tym celu musiałby przedtem rozwiązać Sejm i Senat i ogłosić się dyktatorem. Nawiasem zaznaczyć należy, że tak często spotykany obecnie na łamach prasy termin „oktrojowania konstytucji” użyty został poraz pierwszy na łamach „Dnia Polskiego” przez ks. Eustachego Sapiechę w artykule, mówiącym o bezcelowości rozpisywania wyborów do nowego sejmiku.

W szczególności tej nowej konstytucji poseł Mackiewicz nie wchodzi, domaga się tylko jednego: aby nadawała ona Polsce ustroj monarchiczny. Najzarliwszy w Polsce monarchista, zawsze głosił i nadal głosi, że tylko jako monarchja, Polska dojdzie do roli mocarstwowej i świetności potężnego państwa, wierzył i wierzy, że król, mając pełną władzę w swoich rękach, najlepiej i najłatwiej poradzi sobie z wszystkimi trudnościami, z którymi wielogłowe sejmy nigdy się nie uporają. Dlatego też w obecnej, tak ważnej chwili domaga się wyeliminowania sejmiku od zabierania głosu w sprawie ustroju państwa, bo sejm nie dorósł do rozwiązywania tak ważnych problemów.

Drugim uczciwym i bezinteresownym głosem, był artykuł p. Władysława Glinki na łamach „Dnia Polskiego”. P. Glinka uznaje także konieczność nadania państwu nowej konstytucji w drodze dekretu dyktatorskiego, nie domaga się jednak ustroju monarchicznego, ale radzi, aby urząd Głowy Państwa był dożywotni.

Dlaczego nazywamy te właśnie głosy uczciwymi? Bo przebijają w nich bezinteresowna troska o przyszłość Rzeczypospolitej, bo to nie są żadne kombinacje, żadne „stanowiska”, które się w miarę potrzeby zmieniają lub do innych „stanowisk” przystosowują, żadne „punkty widzenia”, których może być na przestrzeni jednego milimetra nieskończona ilość, a co dopiero na przestrzeni jednego programu partyjnego — nie są to „wyrazy przekonania”, które można rozmaicie formułować, nie zmieniając nawet pozornie prze-konań — lecz są to głosy sumienia, głosy najgłębszej wiary, za którymi zwykle idzie się całe życie, gdy się je raz usłyszy.

Panowie Glinka i Mackiewicz nie mają żadnych interesów, które chciałby asekurować w nowej konstytucji. Mają na oku tylko jeden interes: potęgę i mocarstwowa przy-

NOWY RZĄD

Ci, którzy zostali

szłość Rzeczypospolitej, przemawiają też w swoim własnym imieniu — apostołują dla swojej idei. Wszystkie zaś inne głosy, są głosami przedstawicieli takich czy innych partji, którzy w ten czy inny sposób pamiętają i pamiętać muszą o interesach teraźniejszych i przyszłych swojej partji i losach reprezentowanej przez siebie ideologii. Tak jak socjaliści niewzruszenie trwają na stanowisku starej konstytucji, oddającej wszystko w ręce partji i podnoszącej porozumienie, ugodę, czy prosto komplot kilku partji do wysokości „woli większości społeczeństwa”, ponieważ jako partja w takim ustroju zawsze grać będą wielką rolę — tak samo każda inna partja czy grupa dąży do takich zmian w konstytucji, któreby w przyszłości przed nią właśnie otwierały możliwość odegrania jakiejś roli w życiu państwa. O państwie i o roli, jaką ono w tem wszystkim powinno odgrywać nie pamięta się nic, albo bardzo mało.

A państwo, aby było silne i dobrze się rozwijało, potrzebuje tego samego, co każde przedsiębiorstwo, każda instytucja, każde stowarzyszenie, ba nawet każda partja: potrzebuje wytrwałego i światłego kierownictwa. Jak dotychczas, jeszcze nie doszliśmy do tego, by gdziekolwiek można zastosować kierownictwo kolektywne, którego każdy członek miałby równorzędne kompetencje. Wszędzie w rezultacie decyduje wola jednego człowieka, stojącego na czele. Jeżeli ten człowiek woli swojej nie umie przeprowadzić, jeżeli nie umie rządzić, czy gospodarować, jest usuwany jako niedoświadczony, bez inicjatywy i energii. Nawet wtedy, gdyby wykazał się, że nie innego nie robił jak tylko najściślej stosował się do rad i wskazówek statutowych ciał doradczych.

Dlaczegoż w państwie miałyby być inaczej, dlaczegoż w państwie miałyby obowiązywać inne prawa? Dlaczegoż człowiekowi, który ma stać na czele państwa, trzeba odebrać wszelkie prawa i każdy cień samodzielności? Dlaczegoż temu człowiekowi, który przecież jest najlepszym z najlepszych, wybrańcem wielkiego kilkudziesięciomilionowego narodu, zgóry już okazuje się nieufność, ograniczając czas jego urzędowania. Dlaczegoż nie miałyby być dobrym na całe życie, jeśli uznano go dobrym na siedem lat? Czy w takich warunkach: ograniczony w prawach i swobodzie ruchów, ograniczony kadencją swego urzędowania, Prezydent Rzeczypospolitej może być dobrym kierownikiem państwa, dobrym stróżem jego interesów? Nie. Staje się tylko dekoracją, martwym podpisem i pieczęcią. Władza, wypędzona z właściwego miejsca, chowa się w labiryntach i piwnicach gmachu państwowego, gdzie na nią cychają różne niepowołane elementy, wyzyskujące ją bez kontroli, bo strykie i w mroku. Kontrolą najskuteczniejszą jest bowiem zawsze światło dzienne.

Kto zatem domaga się pełnej i dożywotniej władzy dla głowy państwa, ten pragnie dobrego kierownictwa dla spraw i interesów państwowych, ten pragnie, aby władza wykonywana była na oczach wszystkich, w pełnym świetle, a zatem i pod kontrolą wszystkich. A kto tego pragnie, o żadną prywatę ani chęć przemycania ubocznych interesów posiadany być nie może.

* * *

POŻYCZKA WEWNĘTRZNA.

JEDNYM Z NAJPIĘKNIJSZYCH sukcesów obecnego rządu było nadzwyczajne powodzenie emitowanej ostatnio 4 i pół procentowej pożyczki inwestycyjnej w kwocie 50 milionów złotych. Pożyczka pokryta została prawie że w podwójnej wysokości, tak że obecnie ministerstwo skarbu ma porządek „ambaras de richesse” i głowi się nad tem, od kogo wziąć pieniądze, a komu uprzejmie podziękować i nie skorzystać z oferty.

Jest to pierwsza pożyczka państwowa, która wypuszczona została bez patriotycznego szumu i hałasu, bez bajecznie kolorowych afiszy propagandowych, bez zasmarowywania murów, parkanów i chodników szumnymi hasłami i sloganami. I właśnie ta pożyczka została rozchwyтана. Nikt nie podpisywał pożyczki z obowiązku patriotycznego, ale kto miał gotówkę, śpieszył ją zaoferować, mając nadzieję zrobienia dobrego interesu i perspektywę idealnej pod względem bezpieczeństwa lokaty kapitału.

Powodzenie tej pożyczki jest przekonującym dowodem zmian nastrojów w społeczeństwie. Państwo uważane już jest za coś konkretnego, za coś takiego, na co już można spokojnie stawiać — państwo jest już w umysłach społeczeństwa tak realne, że można mu pożyczyć pieniądze i nima się już przytem uczucia, że się dało ofiarę.

Sukces jest tem większy, że osiągnięty został w warunkach nienajlepszych. Nadmiaru gotówki nima, a w dodatku nima na dziei, że jutro będzie lepiej i że flota skądś przyplynie. A gdy już ktoś posiada trochę uciulanego grosza, to ma pod ręką tuzin najbardziej ponętnych okazji ulokowania go.

I. Charakterystyka poglądów i działalności ministrów Bartla i Składkowskiego, według ich własnych przemówień.

Zmiany gabinetów po przewrocie majowym nie są podobne do katastrofalnych obalnię rządów przedmajowych. Wówczas dziełstwo po jednym ze stronnictw zagarniało inne: le parti est mort! vive le parti! Wszystkie ministerstwa i podwładne im urzędy, zmieniały wyższy personel, a często i niższy. Nic pracy się rwała. Wszystko miało stać się lepszym, niż było za poprzedniego rządu, przynajmniej w mniemaniu sukcesora, a więc trzeba było przedewszystkiem zniszczyć to, co było dokonane przez rząd poprzedni. Nie było najmniejszej troski o ciągłość pracy — warunek sine qua non rozwoju.

Po przewrocie majowym rząd nie ustępuje nigdy w całości: znać dbałość o jaknajle-

Ale ten sukces, ten najwspanialszy, o jakim tylko zamarzyć można było, dowód „upaństwowienia” się społeczeństwa, nakłada na rząd wielki obowiązek jaknajlepszego i najproduktyniejszego zużycia uzyskanych milionów. Niechaj społeczeństwo ujrzy także po raz pierwszy, że państwo umie także gospodarować. To zadowolenie należy mu się. Chce być dumne z państwa, trzeba tę chęć zaspokoić.

CZAS LETNI.

W CZASIE WOJNY wymyślono, zdaje się, w Niemczech t. zw. czas letni, polegający na przesuwniu zegarów o godzinę naprzód na okres od kwietnia do października. Do tego sporu ze słońcem pobudziła praktyczny zmysł niemiecki pałaca potrzeba jak najdalej posuniętej oszczędności prądu elektrycznego i gazu świetlnego, czyli w istocie rzeczy, paliwa. Chodziło o to, by jak najwydatniej wyzyskać światło dzienne i jak najmniej zużywać światła sztucznego. Niemcy wprowadzili czas letni również i w okupowanej Polsce i wyznać trzeba, że z zarządzeń okupacyjnych to jedyny byłoby dobre i nietylko nie szkodliwe, ale wprost pożyteczne. Zachowaliśmy je też (obok wielu innych rzeczy, które zachowaliśmy niepotrzebnie) przez kilka pierwszych lat powojennych.

Po kilku latach jednak stała się rzecz dziwna: Anglja wprowadziła u siebie czas letni, Niemcy zaniechały go, a my posłaliśmy śladem Niemiec, zachowując przytem jednak, nie wiedząc dlaczego, czas środkowo-europejski, czyli berliński, bez żadnej potrzeby opóźniający nasze zegary o blisko pół godziny.

Być może, że ze względu na sąsiedztwo z Niemcami i Czechosłowacją, która również ma czas berliński, wynikałyby pewne niewygody, lub raczej trudności w układzie naszych stosunków komunikacyjnych z temi krajami. Przypuszczamy nawet, że te właśnie względy są jedyną istotną przyczyną takiego konsekwentnego naszego przytrzymywania się zegara niemieckiego.

Zastanowić się jednak warto nad tem, czy nie należałoby pokonać tych trudności dla ustanowienia czasu takiego, jaki istotnie odpowiada naszemu położeniu geograficznemu, i dla zyskania przez to w okresie letnim ok. 90 minut światła dziennego. Jeszcze się przecie lipiec nie skończył, a już mamy obecnie, z powodu stosowania czasu berlińskiego przed godz. 20-tą pełny zmrok. Gdybyśmy zaś w dodatku mieli jeszcze czas letni, to praca w przemyśle, handlu, urzędach rozpo-cynałaby się, przy pełnym blasku słońca, w porze, odpowiadającej naszej dzisiejszej 6.30, zamiast 8, a i kończyła się odpowiednio wcześniej, co przedłużałoby godziny dnia, przeznaczone dla wypoczynku i korzystania ze słońca i powietrza.

Czy sam fakt, że potrzebę tego uznaje i stosuje bogata Anglja, nie jest dostateczną rękomią słuszności i pożyteczności tego urzędzenia? I czy oszczędność, choćby nawet nieznaczna, jakaby to dawało ogółowi dzięki zmniejszeniu ilości godzin używania światła sztucznego, jest aż tak obojętna dla naszego gospodarstwa społecznego, że możemy się z nią nie liczyć?

Sądymy, że władzom naszym należałoby jak najgoręcej zalecić ustanowienie czasu normalnego według słońca i powrócenie w roku przyszłym do niepotrzebnie zaniechanego zarządzenia o czasie letnim.

szy dobór ludzi, o poprawę, o postęp, o doskonalenie administracji państwem. Tamto wynikało z wtrącania się władzy ustawodawczej do władzy wykonawczej — było zgubne. Obecnie sejm przestał być suwerenny. Czy przestał być parlamentem, ciałem ustawodawczym, kontrolującym rząd? Nie, bynajmniej, wszakże jego krytyka obala gabinety; krytyka tylko, nawet nie wotum nieufności. Ale nowego gabinetu sejm nie tworzy, o aprobacie stronnictw nie zabiega się przy tworzeniu rządu. Suwerenem jest kto inny. Może to się wielu parlamentarzystom, dbałym o „żreńcę wolności”, o złotą suwerenność sejm, niepodobać. Ale system ten bezwzględnie lepiej służy zdrowiu Pospolitej Rzeczy (salus Reipublicae suprema lex esto), niż ów system dawny kataklizmowych upadków z rumorem.

Wielu ministrów z dawnego rządu zostało. Został przedewszystkiem ten, który zastępował Marszałka Piłsudskiego w gabinecie poprzednim. Prof. Kazimierz Bartel objął tę premjera obecnego gabinetu. Jest to dowód wielkiego zaufania. Wbrew szeptanym na ucho plotkom różnych zoiłów, czy to z wrogięgo, czy to z niby „przyjaznego” obozu, Marszałek ufa tak bardzo prof. Bartłowi, że złożył w jego ręce piastowany dotychczas ster rządu.

Rządy pomajowe mają ten dobry zwyczaj, że przedstawiają bez ogródek i bez grandilo kwencji, co zrobili i co zamierzają zrobić, jaki jest stan poszczególnych gałęzi administracji państwa. Nie są to już dawne mowy ad captandam benevolentiam stronnictw, są prawdziwym zwierciadłem stanu rzeczy oraz poglądów najwyższych urzędników Rzplitej.

Dobrze jest tedy przypomnieć sobie, co mówili przed forum publicum ludzie nowego rządu. Z nich na czoło wysuwa się premier, mający za sobą długie doświadczenie w rządach i umiejący z niego korzystać. Prezes Rady Ministrów prof. Kazimierz Bartel, wówczas w charakterze wice-premjera, zabrał głos na 11-em posiedzeniu sejmu w dniu rozpoczęcia generalnej debaty budżetowej 29. V. b. r. Między innymi zasługuje na uwagę jego opinie na kwestję urzędniczą w Polsce. Przedewszystkiem prostuje krzywdzące, a rozpowszechnione mniemanie o niskim poziomie umysłowym i moralnym naszych urzędników: „Żadną miarą i w żadnej dziedzinie nie wolno uważać pracowników państwowych za bezpożytecznych i bezużytecznych zjadaczy państwowego chleba”. Dodaje też zaraz, dobitniej myśl akcentując: „Pracownicy państwowi w znacznej swej większości dorastają do swoich ważnych zadań, a ofiarność wielu z nich musi budzić głęboki szacunek”. — Ten poważny człowiek słów na wiatr nie mówi. Powinni byli skorzystać z nauk tego profesora nasi posłowie chłopscy, którzy z lekkim sumieniem uchylili się od świadczeń podatkowych na rzecz państwa, nie zdając sobie sprawy z wielkiej odpowiedzialności, jaką na siebie biorą. To właśnie liche płace urzędników mogą ich zdemoralizować! Cóż bowiem ma czynić człowiek, nie mający co dać jeść rodzinie, a poświęcający cały swój czas służbie państwowej? Wielu też z tych nieszczęsnych schodzi na manowce defraudacji, szpiegostwa na rzecz państw obcych, wielu ucieka od życia, kładąc mu kres ręką własną. Nie chcąc widzieć męki ofiar swego sobkowstwa, włościńscy posłowie sejmu naszego bardzo przypominają „rubaszne czerepy” szlacheckich posłów sejmów z czasów liberum veto. — Prof. Bartel nie okrywa tęczami słów pięknych nędznych frazów, jakich pełne są usta niektórych męferów partyjnych, jeszcze naród zwodzających. Stwierdził tedy wyraźnie i zrozumiale, że: „Dalsza redukcja sił administracyjnych jest albo wogóle niemożliwa, albo uzależniona od usprawnienia organizacji pracy, która postępować może tylko stopniowo”. Dał na to liczne i przekonujące przykłady z wielu dziedzin administracji. W końcu swego przemówienia skonstatował rzecz jasną, jak słońce dla ludzi ojczyznę, nie partję lub klasę, nad wszystko miłujących: „Bez powiększenia istniejących źródeł dochodów lub bez odkrycia nowych — zasadnicze uregulowanie poborów pracowników państwowych nie będzie możliwe”. Pomimo tego posłowie chłopscy i socjaliści od-rzucili przedłożenia budżetowe w zakresie ujednostajnienia podatku majątkowego i wprowadzenia podatku od gruntu i budynków. Był to grosz od włościń państwu z całą słusnością należy, ale znaleźli się w sejmie szarlatani polityczni, którzy wbrew sprawiedliwości i prawdzie pomawiali rząd

o demagogiczne wyzyskanie sytuacji, o sztuczne łączenie tych podatków chłopskich z płacami urzędniczymi. Zarzut demagogii przeciw nim się zwraca, bo tylko względ na poklask niechającego płacić podatków, choć w istocie zbyt mało opodatkowanego, chłopca, mógł skłonić ich do zamknięcia jedynego źródła poprawy bytu pracowników państwowych. Są przytem obłudni, jak faryzeusze, bo często lży leją nad niedolą urzędnika.

Pozostał też w rządzie inny minister, człowiek skryształowanej woli, jasnej myśli, konkretnych celów. Mam na myśli ministra Spraw Wewnętrznych gen. Składkowskiego. Sam nie wiele ma z Macchiavelli'ego, ale umie używać małych makjowelów swoich dla paraliżowania planów wielkich makjowelów ościennych państw, przeciw Polsce spiskujących. Wypowiedział on ciekawą mowę w komisji budżetowej sejmu dnia 10. V. b. r., z której na podkreślenie zasługuje dwa ustępy. W jednym z nich gen. Składkowski stwierdził rzecz prawdziwą i jasną, a pomimo tego przez szarlatanów i faryzeuszów politycznych wielokrotnie kwestjonowaną. Jest nią konieczność walki władz państwowych z krecią robotą komunizmu. Minister w ustępie omawianym mowy swej zwrócił uwagę słuchaczy, że akty terroru w stosunku do przedstawicieli władz bezpieczeństwa i do władz innych mnożą się. Wyjaśnił, że miał na myśli wypadki podpałen i mordów, organizowane przez komunistów i ugrupowania komunizujące, — na całej wschodniej polaci państwa. W obliczu tych faktów oznajmił członkom komisji, co następuje: „Stosunek rządu do komunizmu musi być określony wyraźnie. Rząd, który reprezentuje, nie ma żadnych wątpliwości co do potrzeby i konieczności najenergiczniejszej walki z ruchem komunistycznym w Polsce w obecnych jego formach”.

Jak dalece groźne są te działania przestępstwa gen. Składkowski w słowach: „Organizacje komunistyczne i komunizujące nie ukrywają nawet wcale wiary swej w to, że przebudowa ustroju społecznego, do której dążą, może się w Polsce dokonać tylko na gruzach niepodległości Polski. Dlatego dezorganizują życie gospodarcze, uniemożliwiają zgodne współzycie narodowości, osłabiają obronę państwa przez szpiegostwo i wrogą propagandę w armji”.

Minister Spraw Wewnętrznych rozprawia się w dalszych słowach z temi politykami, którzy z demagogicznych powodów, zdając sobie sprawę z rozkładającego i wrogięgo Polsce działania komunizmu, otaczają jego wyznawców w pewnych momentach swą pieczołowitą opieką i bronią od ucisku rządowego. Mówi tedy minister: „Dopóki tak jest, nikt nie ma prawa nazwać walki z komunizmem polityką reakcji społecznej, a rząd tej walki nie zaprzestanie. Najwięksi wrogowie komunizmu czynią mimo to rządowi zarzuty, że posługuje się środkami politycznymi, a te środki niby to komunizmem nie szkodzą. Z tych kół słyszymy też rady o potrzebie legalizacji ruchu komunistycznego w Polsce. Rząd jednak opinii tej nie podziela i partji komunistycznych legalizować nie będzie”.

Słowa powyższe należy uważać za niewzruszoną podstawę działalności gen. Składkowskiego — na szkodę Polsce takie zasady wyjść nie mogą.

Minister ten ma jeszcze cały szereg zasad, od których nie odstąpi ani na krok: wszystkie skierowane są ku dobru społecznemu obywateli Rzplitej. Nie najpośledniejsze wśród nich miejsce przypada walce z zewnętrznymi symptomami braku kultury. O tej stronie działalności swej mówi gen. Składkowski z humorem: „Postanowiłem poświęcić moją popularność, aby oczyścić Polskę z brudu. Pod tym względem akcja moja jest apolityczna. Apeluje do panów posłów, którzy się zajmują dolą klasy robotniczej i włościńskiej, aby poparli moje usiłowania. Chcę, żeby dzieci robotników nie grzebały się w śmietnikach, żeby ich gruzlica nie żarła i mam prawo wymagać od panów poparcia, a nie żartów”.

Dla każdego logicznie myślącego człowieka, dla każdego Polaka, pragnącego zachowania cudownie odzyskanej ojczyzny, jasnym jest, że człowiek tak pojmujący swe zadanie w charakterze ministra spraw wewnętrznych, jest odpowiednim człowiekiem na właściwym miejscu. Dla tego pozostał w nowym rządzie.

Dr. Gustaw Doborzyński.

Z A G R A N I C A

PRZEGLĄD SPRAW ZAGRANICZNYCH

Giolitti — Polska a sprawa połączenia się Austrii z Niemcami — Zamach w Meksyku

W ubiegłym tygodniu zmarł we Włoszech Giovanni Giolitti, były premier włoski, który urząd ten sprawował pięć razy w swoim życiu.

Giolitti jest typowym przedstawicielem liberalizmu politycznego, jaki zrodził się jako reakcja absolutyzmu, a który w dzisiejszych warunkach prowadzi do rozprzężenia i chaosu, po którym z matematyczną ścisłością musi przyjść jakaś nowa forma absolutyzmu: dyktatura bolszewicka albo absolutyzm oświecony, demokratyczny. Liberalna demokracja, ideał z końca ubiegłego i początku obecnego stulecia nie wytrzymuje nigdzie próby praktycznej. Okazuje się utopią, chimera jakiejś niezmiernie odległej przyszłości, gdy na ziemi panować będą idealne stosunki, gdy ludzie naprawdę wszyscy będą równi, gdy uczucia braterskie przenikną wszystkie narody i wszystkie warstwy społeczne, gdy dojdziemy do społeczeństwa bezklasowego, w którym panować będzie absolutna jednomyślność, w którym żadna wola, nawet najmniejszej mniejszości, nigdy nie będzie gwałcona, a będzie identyczną z wolą większości, w którym temsamem ustroj demokratyczny będzie... zbyt czystym. Ale do takiego celu musi ktoś społeczeństwa i narody zaprowadzić. Chodzi właśnie o to, kto ma je ku tej idealnej przyszłości systematycznie, krok za krokiem prowadzić. Liberalizm na to pytanie niema odpowiedzi, a raczej odpowiada, że społeczeństwa same tam dojdą, zastrzegając się jednak, że — aby mogły tam dojść — trzeba przeciwstawiać się prądom, które mogłyby powstrzymać je w tym marszu, lub na manowce sprowadzić. Ale powstaje znów kwestja, kto ma się przeciwstawić? Bo liberalizm zgóry rezygnuje z tej roli, stając na stanowisku, że niczyja wola nie powinna być gwałcona, że każdemu należy dać swobodę wypowiedzenia się i bronięcia i szerzenia swojej ideologii.

Takim nieszczęsnym liberałem był Giolitti. W roku 1920 stał po raz piąty w życiu, a pierwszy raz po zawierusze wojennej, na czele rządu włoskiego. Z jednej strony szerzył ruch faszystowski, z drugiej komunistyczny. Giolitti nie potrafił zdobyć się na energję ani wobec pierwszego, ani wobec drugiego. Bo jakże tu walczyć z ideologją? Wszak pierwsze przykazanie liberalizmu głosi, że każdy powinien mieć swobodę. Prowadzi politykę parlamentarną, widząc w parlamencie panaceum na wszystkie bolączki. Z początku ma większość. Popierają go nawet socja-

liści za jego liberalizm i za to, że nie przesładuje komunistów, że legalnie pozwala im prowadzić propagandę. Po pewnym czasie dla lewicy jest za mało lewicowym i większość w parlamencie traci. Przychodzi na jego miejsce jeszcze bardziej liberalny Facta, który w Genui gości pierwszą delegację bolszewicką, jaka pojawiła się w Europie. Było to w czasie konferencji genueńskiej. Liberalizm kwitnie we Włoszech coraz bardziej. Panują tam idealne stosunki. Nikt nie jest uciskany. „Prądy społeczne” ścierają się w „uczciwej” walce. Tylko że ta uczciwa walka i to swobodne, niczem niekrepowane ścieranie się prądów społecznych zamienia się powoli w wojnę domową. Z jednej strony elementy bolszewickie i socjalistyczne zaczynają „uspołeczniać” przemysł, zajmują fabryki, wprowadzają rady robotnicze i t. p., a z drugiej faszysta Mussoliniego prowadzi formalne bitwy z bolszewikami i socjalistami. Władza państwowa gra rolę publiczności, biernie patrząc na widowisko. Liberalizm czeka, co z tego wszystkiego wyniknie, czeka z wieńcem laurowym na zwycięscę, jako sędzia bezstronny.

Mussolini z faszystami bierze górę w tej swobodnej walce i rusza na Rzym. Liberalizm nie zdobywa się na żaden odruch obrony. Może wierzy, że faszizm uszanuje jego wniosłe zasady. Ale faszizm nie uszanował tych wniosłości. Panów liberałów, jako szkoła dliwych niedołęgów przepędził na cztery wiatry i w swoje ręce wziął władzę. Giolitti protestował. Bo jakże tak można — jakże można komuś narzucać swoją wolę! Nie długo jednak protestował. Sędziwy liberał do czekał się tego, że zlikwidowano parlament, „zrenicę swobód obywatelskich i wolności politycznej”. Był nawet na ostatnim posiedzeniu parlamentu, na którym uchwalono jego likwidację i likwidację liberalnej demokracji. Wstał i przemawiał. Tylko, że nikt na wet nie spojrział na niego. Wyglądał jak upiór z dawno minionej, nieszczęsnej epoki, jak żywy anachronizm. Nikt mu też nie przerywał. Słowa jego szły w pustkę. Kilka miesięcy po tem posiedzeniu starzec umiera... Nie rozumiał do ostatniej chwili, że nadszedł nowy porządek rzeczy, że to nie wraca dawny absolutyzm, lecz nowa forma demokracji się narodziła...

W Wiedniu odbywają się uroczystości Szubertowskie z powodu jubileuszu Szuberta, który przypada w tym roku. W ubiegłym

tygodniu odbywał się tam wielki mityng śpiewaczy, w którym brały udział wszystkie niemieckie towarzystwa śpiewacze z całej Europy. Ten zjazd śpiewaczy zamienił się dzięki obecności na nim kanclerza Rzeszy niemieckiej Müllera i prezydenta parlamentu Rzeszy Loebego w wielką manifestację za przyłączeniem Austrii do Niemiec. Ponieważ z drugiej strony manifestacja to odbywała się w obecności kanclerza austriackiego, księdza Seipla, i członków rządu austriackiego, miała ona jakby charakter oficjalny i przyjęta została za granicą jako wyraz dążności „anschlussowych” w oficjalnych sferach austriackich i niemieckich.

Zareagowała na to przedewszystkiem prasa francuska, która bardzo energicznie zwalcza ideę połączenia się Austrii z Niemcami. Podobne stanowisko zajęła część opinii publicznej w Polsce.

W gruncie rzeczy sprawa ta niewiele powinna nas obchodzić. Na połączeniu się Austrii z Niemcami niewiele stracimy, a kto wie, czy czegoś nie zyskamy. Dzięki bowiem takiemu połączeniu się z Austrią, musiałyby ulec zmianie najważniejsze wytyczne niemieckiej polityki zagranicznej. Napór niemieckiej polityki na wschód znacznie by osłabł, albowiem cała uwaga Niemiec koncentrowałaby się wówczas na południowym wschodzie. Niemcy zetknęłyby się bezpośrednio z problemami polityki bałkańskiej i tam według wszelkiego prawdopodobieństwa znalazłyby dostateczne ujście dla swojego „Drangu” ekspansywnego.

Może to być niewygodne dla Małej Ententy i stojącej za nią Francji, może to być niewygodne i niebezpieczne dla Włoch, ale dla nas niema w tem żadnego niebezpieczeństwa. Jest natomiast szansa, że w ten sposób zmniejszy się nacisk Niemiec na naszą zachodnią granicę i na szczególnie dla nas ważne odcinki tej granicy. Polska jest w najwyższym stopniu zainteresowana w tem, aby historyczny germański „Drang nach Osten” osłabł, a nawet ustał. Przyłączenie Austrii do Niemiec może do tego doprowadzić i dlatego nie wolno nam bezkrytycznie powtarzać argumentów polityki francuskiej, czeskiej, czy włoskiej. W tej sprawie Polska powinna się zdobyć na własne niezależne stanowisko, zgodne z dobrze i na daleką metę pojętymi i przewidzianymi interesami naszego państwa.

W dwa tygodnie po wyborze swoim pada z rąk zamachowca prezydent Meksyku, generał Obregon. Zamach dokonał jakiś student, zakradłszy się w tym celu do lokalu, w którym odbywał się jakiś oficjalny bankiet z

udziałem Prezydenta i najwyższych dygnitarzy państwowych. Trafiony kilkoma kulami rewolwerowymi, gen. Obregon padł trupem na miejscu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zamach ten pozostaje w związku z toczącą się obecnie w Meksyku walką pomiędzy kościołem a państwem. Nie jest tylko wyjaśnionem, czy zamach ten był rezultatem sprzysiężenia, czy też tylko czynem fanatyka, mniemającego, iż w ten sposób przysłuży się sprawie, za którą walczył.

Wbrew pierwszym doniesieniom, zamach na Obregona tym razem nie stał się sygnałem do wybuchu powstania i nowej wojny domowej o władzę w państwie. Dotychczas zawsze tak bywało. Nietylko zamach, ale nawet naturalna śmierć głowy państwa pociągała za sobą długotrwałe walki pomiędzy zbrojnymi partjami różnych kandydatów na dyktatorów, walki inspirowane z reguły przez agentów obcych mocarstw, mających swoje interesy w Meksyku. Władzę na nowo ujął w swoje ręce były prezydent i dyktator Calles, który był świadkiem zamachu i osobiście prowadził pierwsze badanie sprawy.

To też według wszelkiego prawdopodobieństwa nic się w Meksyku nie zmieni. Obawiać się tylko należy jeszcze większego zaostrenia akcji, prowadzonej przeciwko partji kościelnej.

* * *

Polska prasa socjalistyczna przemilcza skrupulatnie sensację niemiecką, mianowicie przypadek odnalezienia w jakiejś starej szafie pruskiego prezydium rady ministrów korespondencji pomiędzy Bismarkiem i Lassalem z lat 1863 i 1864. Z korespondencji tej wynika, że Bismark korzystał z rad i wskazówek apostoła socjalizmu, mimo, że uchodził i był „najczarniejszym” reakcjonistą i wrogiem ruchu klasowego i hasel socjalistycznych. Rady i wskazówki Lassalle’a dawane Bismarkowi, miały na celu ułatwienie żelaznemu kanclerzowi walki z innymi nieprzychylnymi sobie stronnictwami (Demokratami).

Znalezienie tej korespondencji i częściowe opublikowanie jej dowodzi raz jeszcze, że socjalistyczni politycy bynajmniej nie unikają „prywatnego” kontaktu z największymi nawet swoimi przeciwnikami politycznymi i klasowymi, jeżeli w ten sposób można podstawić nogę jakiemuś konkurencyjnemu przedsiębiorstwu partyjnemu.

Miła ta sprawa dla socjalistów niemieckich nie jest, gdyż sumiennie wykorzystują ją przeciwnicy polityczni. Miła nie jest zapewne także i dla socjalistów polskich.

Bogusław Zabłocki.

OBCHÓD ŚWIĘTA NARODOWEGO W PARYŻU

Rozpoczęto budowę w 1370-ym roku, ukończono w 1382-ym, zdobyto szturmem w 1789-ym, zaś w 1880-ym wzniesiono rocznicę zburzenia do godności święta narodowego. Taką jest historia Bastylji-zamku, fortecy, więzienia. W dniu 14-ym lipca Rewolucja dokonała pierwszego czynu twórczego: zniszczyła widomy symbol władzy absolutnej. Twórczego, gdyż 4-go sierpnia 1789-ego roku proklamowana została uroczystość wiekopomna „Déclaration des droits de l'homme et du citoyen”. Upřednie zrównanie z ziemią murów Bastylji było absolutną koniecznością... By móc na wszystkich gmachach państwowych wyręć niezatartymi głoskami lapidarną formułę ideologii demokratycznej: „Liberté. Egalité. Fraternité”. Opuszczono w tym napisie obowiązującą pointę nieśmiertelnego hasła: „...ou la mort!”, bo i tak nóż gilotyny stale krwawił ociekając w imię wolności i braterstwa...

32 st. w cieniu. Policja konna, rowerowa i piesza z niesłychaną trudnością kieruje ruchem ulicznym na olbrzymim „Place de la Bastille”. 14-ty lipca wypada tym razem w sobotę, wobec przeto dwóch dni świąt tłumy już dziś, w piątek, uciekają z Paryża. Samochodami, pociągami i nawet tramwajami zamiejskimi. Setki, tysiące wędek — rybołówstwo jest najpopularniejszym bodaj we Francji sportem. Bo odpowiada charakterowi narodowemu: łączy przyjemność z korzyścią. Śmiesznie drobną i wcale nie tak pewną, ale ucziszającą wyrzuty sumienia oszczędnego

mieszczucha, udającego się z całą rodziną na wycieczkę. A do tych miejscowości nadrzecznych prowadzi droga kolejowa, elektryczna, automobilowa i rowerowa właśnie przez plac Bastylji. Świętować będą tysiące, krocie, miliony, nie bacząc na gniew komunistycznej „Humanité”, która wzywa uswiadomiony proletariąt, by nie brał udziału w „patriotycznym-demokratycznym szopkach burżuazyjnych”. Trójbarwne sztandary republikańskie, powiewające na wieżach średniowiecznych kościołów ku pamięci zburzenia feudalnej twierdzy królewskiej przez zrewoltowany lud Paryża... I to jeszcze nie wystarczy! Stanowczo, III-a Międzynarodówka dotknięta jest poważną chorobą, niebezpieczną dla otoczenia, — sadyzmem... A może to tylko przejaw śmiesznej megalomanji?...

Rzecz prosta, nie wszyscy pojechali na trawkę. Wystarczy zechcieć usiąść na „tarasie” jednej z licznych kawiarni, otaczających chociażby tenże sam plac Bastylji, by się przekonać, że Paryż nie opustoszał tak bardzo. Znalezienie wolnego miejsca przy stoliku zależy, w dużej mierze, od mocnych łokci, sutego napiwka, uprzejmości sąsiadów, a przedewszystkiem, od wrodzonego szczęścia. Wo rocznicę zdobycia Bastylji święci miasto tradycyjnymi balami publicznymi, na środku placów, bulwarów i ulic organizowanymi. Tańczących par przed każdą kawiarnią — setki. Nie czerwona czapka frygijska, ale utleniona „ondulation permanente”, nie francuska „carmagnole’a” rewolucyjna, ale mu-

rzyński „charleston” dancin’owy... Orkiestry mieszane: ex-prymitywni mulaci o śmiejących się zębach białych i ex-wytworni książęta rosyjscy o smutnych oczach. Publiczność natomiast składa się z rdzennych francuzów, rodowitych paryżan, „gens du quartier”. Ma zaś to swój odrębny posmak historyczny, swoją odrębną wartość dziejową, gdyż w bezpośrednim sąsiedztwie znajduje się wszak Faubourg Saint-Antoine — dzielnica, której mieszkańcy — od połowy XVIII wieku poczynając — pierwsi szli na barykady. Dziś, rozparci przy stolikach, zapijają spokojnie wino i przekomarzają się z policjantami, starannie pilnującymi, by autobusy i tramwaje, broń Boże! nie przeszkożyły w zabawie suwerennemu ludowi stolicy: ruch kołowy dozwolony jest tylko w przerwach, pomiędzy jednym tańcem a drugim. Ich przodkowie w tym celu spalili Bastylję, by oni mogli przypatrywać się fajerwerkom... W dzień 14-go lipca, w dzień święta narodowego...

A inne dzielnice Paryża? Na Champs Elysées — wielka rewja wojskowa. Malownicza, dzięki barwnym strojom pułków kolonialnych, egzotyczna, dzięki „kolorowym” żołnierzom afrykańskim, międzynarodowa, dzięki tłumom przypatrujących się cudzoziemców. Wspaniała parada w rocznicę buntu regularnych oddziałów wojskowych. W obecności całego korpusu dyplomatycznego, z poszanowaniem obnażającego głowy przy słowach hymnu narodowego: „...L'étendard sanglant est levé!...”. Bo człowiek posiada

dar nietylko pamięci, ale i zapominania. I dlatego może tak puste są ulice wytwornych dzielnic Paryża w dniu 14-go Lipca. Święto narodowe? C'est si peu intéressant... Niesłusznie przypisuje „Humanité” temu obchodowi charakter burżuazyjny — dosyć spojrzeć na zamknięte okna i bramy „przywzwoitych” domów, i to bynajmniej nie arystokratycznego Faubourg Saint-Germain. Autocary z métèque’ami o suto wyzłoconych pugilaresach i zębach muszą więc jechać aż na Montparnasse, by pokazać swoim pasażerom jak słusznym jest powiedzenie, że „każdy człowiek posiada dwie ojczyzny — własną i Francję”. Anglicy, brazylijczycy, chińczycy, duńczycy, estończycy, finlandczycy, gruzini, hiszpanie, irlandczycy... — każda litera alfabetu reprezentowana jest narodowościowo w Café du Dome, Rotonde i Coupole — bez różnicy płci, wieku, formy okularów i przekonań estetycznych namiętnie piją, tańczą, śpiewają i „flirtują” publicznie na cześć zdobycia Bastylji. Wieża Babel — kubistyczna, surrealistyczna, neo-romantyczna i, zwyczajnie, kiczarska... Porządnie „trynknięta”, głęboko wydekoltowana, do szaleństwa jazz-band’ująca...

Przed bramą pobliskiego domu siedzi concierge ze swoją żoną — ona curuje skarpetki męża, on czyta znową gazetę. C'est le 14 Juillet — on peut se reposer....

(Paryż).

Zygmunt St. Klingsland.

Ignacy Łukasiewicz

Komu Polska zawdzięcza swój przemysł naftowy, a świat najpotężniejsze czynniki postępu?

Po asfaltowanych ulicach miast przelewa się grzmiący, skłębiony ruch. Pojedynczo, łańcuchami, stadami pędzą lśniące, czarno lakierowane wozy, trąbiąc głucho. Fiaty i Fordy, Renaulty i Chryslery, masowy produkt gigantycznych warsztatów automobilowych, napełniają powietrze obu półkul zgiełkiem pośpiechu i benzynowym zapachem gorączkowego pędu. W węzłowych punktach ulic Warszawy, Paryża, Nowego Jorku i Szanghaju policjant jednym ruchem pałeczki hamuje długie ich sznury, aby je potem znów puścić, jak zdyszane, stalowe charty ze smyczy.

Poza murami miast, na płaskich, rozległych lotniskach wielkie pudła drewniane, stumetrowe klatki naszych najpiękniejszych ptaków. Hangary. Białe, skrzydlate pielgrzymy z potężnym warkotem śmig zrywają się do lotu, zataczają niezmiernie, majestatyczne kręgi nad miastem i odpływają w siną dal, w błękit wycielony puszystymi dywanami obłoków.

Coraz ich więcej. Coraz zuchwalsze ich zasięgi. Mnożą się, łączą w eskadry, śmigają radośnie i bez trwogi z Moskwy do Rzymu, z Londynu do Stambułu. Nie to. Dalej jeszcze. Niemasz granic ich cudownym, zdo bywczym przelotom. Do Tokjo, do Kapsztatu, ponad Oceanami, 60 godzin bez przerwy w powietrzu — poprzez równiki płomienne od duszącego skwaru, ponad mroźne, groźne, w lodową śmierć ścięte bieguny. Świat cały haftują ściegami swoich lotów w wielką, lazurową chorągiew braterstwa i wspólnoty.

Oczy ich śledzą z obłoków mrowienie się ludów na lądach i szlak cierpliwie brnących w pianach okrętów wykołysanych w bezgranicznej kolebce Oceanów. Wiszą flagi na ich strzelistych masztach, widome znaki bujnej ekspansji narodów. Na tym zielonym, zmydlonym ciosami szkwałów gościńcu mijają się chorągwie gwiazdzone Stanów i lwy brytyjskie, wschodzące słońca Japonii i trzema gwiazdami podparte półksiężyc turecki. Hucząc, wjeżdżają dymiące olbrzymy we framugi rozdygotanych portów, czarne ramiona dźwigarów wznoszą się i opadają, stopy zamorskich towarów wysypują się w gardziele portowych składnic. Oto Szanghaj i Londyn, Nowy Jork i Hamburg, Antwerpia, Aleksandria i Singapur. Tu odbywa się ten szumny, wielobarwny jarmark, wymiana produktów pięciu części świata, wzajemne przenikanie energii i myśli, języków i genjuszów ras i plemion. A to wszystko płynie,

przelewa się, krzyżuje, dźwigane na wielkich jak miasta, opalanych ropą łodziach handlowych i pasażerskich okrętach.

Oto są ujarzmiciele trzech żywiołów, wędrownicy lądów, mórz i powietrza. Auta, aeroplany i okręty, trzy magiczne wyrazy stulecia. Symbole, w których koncentruje się ludzka dążność do pośpiechu, do słońca w niebiosach i do globalnej wymiany materji i ducha. One stanowią fizjonomję planety, one, wraz z temi niezliczonymi fabrykami, zakładami lotniczymi, dokami, wraz z całym okręgi przemysłowem, wraz z terenami o milionowej ludności ciężącymi ku morzom, ku złotodajnym dalom.

Ale nietylko one są dziś bryłami tej niesłychanej dziejowej lawiny wznieconej i rozpędzonej po stokach naszego stulecia przez wynalazek cichego, nieznanego światu, a nawet swojej ojczyźnie Polaka z pod Krosna, Ignacego Łukasiewicza. Rozmiary tej lawiny tak się rozrosły, że wprost niemożliwym jest jednym rzutem oka je ogarnąć i pojąć. Ślady jej widzimy wszędzie — pod stopami — bo asfalt uliczny jest produktem ropnym, — obok siebie — bo w lasach szybów naftowych i kominach rafinerji — nad sobą, — bo w świetlnych kulach lamp gazowych. Z jaką przedziwną konsekwencją i w jakim zawrotnym tempie dokonało się to wszystko w ciągu niewielu dziesiątków lat, ubiegłych od tej pamiętnej chwili, w której w mózgu nipośpolitego człowieka błysła wspaniała myśl zużytkowania owego czarnego płynu, wydobywającego się z ziemi samorzutnie w niektórych okolicach Podkarpacia.

Powie niejeden sceptyk z przekasem, że Łukasiewicz nie zdawał sobie sprawy z ogromu swego wynalazku, że nie przewidywał jego potężnych następstw dla ludzkości i jej cywilizacyjnego rozwoju. Że nie myślał o tych wszechstronnych przemianach gospodarczych i technicznych, jakich był dźwignią. Zdanie takie — to nonsens. Zapewne nie wielu wielkich mężów świata zastanawiało się nad dalekimi konsekwencjami swych czynów, niewielu wybiegało myślą w sferę wzbu rzonej wyobraźni, snując obrazy przekształconej ich dziełem przyszłości. Stevensen, konstruując pierwszą lokomotywę pewnie nie upajał się wizją niezmiernie sieci żelaznej, oplatającej dziś cały glob i hukiem miliona rozpedzonych pociągów na płaszczynie wszystkich lądów, a nawet pod ziemią i w powietrzu. Nie widział całych gór towaru i miliardowych wędrowek przewożonych z

błyskawiczną szybkością pasażerów, ani stukilometrowego mostu rzuconego na Key West przez morze z półwyspu Florydy, ani tuneli przebijających na wylot całe łańcuchy górskie.

Gutenberg, wynalazca druku, nie rozmyślał nad potopem książek wyprodukowanych przez ludzkość w takiej ilości, że możnaby po nich bodajże przejść jak po moście z ziemi na księżyc; ani o bibliotekach stołecznych i encyklopedjach stutomowych, ani o prasie codziennej, której powstanie i rozwój wywarły tak niesłychany wpływ na życie społeczeństw, tak materialne, jak i umysłowe.

Tak samo, jak Edison, pracując nad kinematoskopem, nie przeczuwał z pewnością, że ten mały, niedołyżny aparacik wyległ się do nas jeszcze Muze, spadkobierczynię nieomal dziewięciu Muż greckich, stworzył całą nową gałąź sztuki, rozpięta istny szal dolara i wysięg ambicji, wzniesie 52,000 teatrów świetlnych i przez chciwe, poządliwe oczy trafi do serc i mózgów miljarða mieszkańców naszej planety.

Takich przykładów możnaby zresztą przytoczyć mnóstwo.

Inni znów powiedzą, że nie trzeba być geniuszem, ani filozofem, aby z ropy zrobić naftę i wymyśleć coś tak prostego, jak... lampa naftowa. Istotnie. „Zabawka — jak każda rzecz doskonała” — powiedział ktoś, kręcąc palcem globus szkolny na osi. Miał na myśli naszą planetę, ot sobie zwyczajną kulę i obrót jej dookoła samej siebie. Nic łatwiejszego. Dziwne tylko, że ta niesłychanie łatwa rzecz nie wpadła nikomu innemu do głowy i że nikt inny — wszak ropa wylewa się w wielu punktach ziemi na jej powierzchni — nie dokonał tego samego przed nim.

Pomniejszanie olbrzymów — zwłaszcza swoich, to nasza narodowa manja. Poniewieramy ludźmi, którymi winniśmy się chlubić, dopóki nam ich nie odkryje zagranica. Wtedy dopiero wielki zgiełk, pokorne zdejmowanie czapek, czołobitne, manifestacyjne obchody. Jest to karygodne niechlujstwo i niedbałość pozwolić porość pleśnią zapomnienia takim dziełom i takim nazwiskom. W chwili, gdy każde dziecko w polskiej szkole wykuwa na pamięć nazwiska Stevensona, Stanleja, czy Marconiego, nie znalazł się nikt, kto by mu powiedział, że był sobie kilkadziesiąt lat temu niejaki pan Łukasiewicz, którego nikt nie znał poza obrębem jego miasteczka, a od

którego — w prostej linii — wywodzą się rafinerje, kopalnie, auta, aeroplany, opalane ropą okręty, asfalt, naftowe lampy, parafinowe świece i smary i wiele jeszcze innych, zupełnie „łatwych” rzeczy. A u nas w Polsce 700,000 ton produkcji rocznie, wartości 200 milionów zł. Przemysł, który zatrudnia dziesiątki tysięcy robotników i stanowi jedną z najważniejszych pozycji naszego eksportu a koło niego cały szereg przemysłów pomocniczych, fabryki maszyn i różnych artykułów technicznych, tartaki, cegielnie, fabryki kwasu siarkowego, sody i t. d.

Zaiste, Ignacy Łukasiewicz zasłużył sobie na to, aby na placach naszych miast wmurowano jego tablice pamiątkowe, aby uczono o nim w szkołach, aby chrzczone imieniem jego ulice, aby pisano o nim monografie. Lecz dzieło spłaty długu wdzięczności wobec tego człowieka, dzieło rozświecenia go po całej Polsce i w całej Europie — to zadanie naszej prasy, która przy nadarzającej się sposobności (dnia 30 września b. r. uroczysty obchód ku czci Łukasiewicza w obecności najwyższych dostojników państwa — w Krośnie) nie omieszka zapewne zająć się nim w całym szeregu artykułów i szczegółowych informacyj.

W ogólnym cywilizacyjnym dorobku ludzkości niewiele jest nazwisk polskich. Wpiszmy w tę złotą, pamiątkową księgę jak naj-skwapliwiej to wielkie, a nieznanie światu nazwisko, które posuwa nas o jedną rangę wzwyż w hierarchji narodów kroczących na czele świata, jako falanga postępu.

Jerzy Braun.

Ignacy Łukasiewicz pierwszy wyprodukował naftę z ropy w r. 1851, czy 52. W roku 1853 zbudował pierwszą prymitywną dystylarnię nafty w Jasle. Kopanie i wydobywanie ropy rozpoczął w Bóbrce koło Krosna wspólnie z Kłobasą i Trzecieckim. W r. 1854 założył dystylarnię w Polance, a po jej pożarze zbudował dużą już fabrykę w Chorówce. Jego też wynalazkiem jest oczyszczenie nafty za pomocą kwasu siarkowego, oraz pierwsza lampa naftowa. Umarł w roku 1881, pochowany w Zrebnie, gdzie uprzednio wybudował kościół. Był prezesem Rady Powiatowej, posłem na Sejm, pracował wydatnie w dziedzinie oświatowej, przyczynił się do powstania w powiecie krośnieńskim wielu szkół i dróg.

Nobile

Szesnastu ludzi znajdowało się na pokładzie sterowca włoskiego „Italia”, gdy dnia 24 maja uniósł się w powietrze nad zatoką Kingsbay na Szpicbergach i poszybował w stronę bieguny północnego.

Po depezy Nobilego, zawiadamiającej o dotarciu do bieguny i zrzuconiu krzyża papieskiego i flagi faszystowskiej, płynęły długie dni bez żadnej wiadomości o losie wyprawy. Katastrofa? Tak myślał cały świat, nikt jednak pierwszy nie chciał tego słowa głośno powiedzieć. Potem chwycono pierwsze słabe sygnały radiowe i w ułamkach z trudem słyszanych znaków wyczytano potwierdzenie obaw i przeczuć. Katastrofa. Sterowiec zniszczony, część załogi, znajdująca się w głównej gondoli wraz z nią runęła na kry lodowe, część wraz z kadłubem „Italii” uniósł wicher.

W gondoli było jedenastu ludzi, między nimi generał Nobile. W czasie katastrofy zginął jeden z nich, maszynista „Italii”. Nobile doznał zwichnięcia, czy lekkiego złamania nogi, pozostali, prócz cięższych obrażeń wyszli z katastrofy bez szwanku. Los pozostałych pięciu, porwanych przez wicher wraz z kadłubem sterowca dotychczas jest nieznanym.

Bezpośrednio po katastrofie od grupy generała Nobile odłączyło się trzech ludzi: młody szwedzki uczonec Malmgren, który towarzyszył Nobilemu jako meteorolog, oraz dwaj włoscy oficerowie Mariano i Zappi. Na krze pozostało siedmiu ludzi z generałem na czele.

Dlaczego ta trójka się odłączyła? Na to pytanie bezwzględnie pewnej odpowiedzi niema i zapewne jej nie będzie. Nobile twierdzi, że nastąpiło to z inicjatywy Malmgrene, który miał nadzieję, że przed jej piechotą dojdzie do przylądka północnego niż doczeka

się ratunku na krze. Mariano i Zappi przyłączyli się do Malmgrene. Należy zaznaczyć, że Malmgren uchodził za świetnego znawcę strefy polarnej i doskonale się w niej orjentował. Plan taki mógł przeto rzeczywiście zrodzić się w jego głowie, chociaż z drugiej strony właśnie Malmgren najlepiej przesiał wiedzieć, jak beznadziejnym jest to przedsięwzięcie i jak samobójczym zamiar przedarcia się pieszko, bez wystarczających środków żywności i bez odpowiedniego ekwipunku, przez pu stynię lodową, przez zwały, kry i góry lodowe.

W każdym razie Malmgren, decydując się na ten krok, musiał albo czuć się zdrow i pełen sił, albo też działać pod jakimś przymusem.

* * *

Natychmiast po przejęciu pierwszych sygnałów radiowych, wysyłanych przez generała Nobile przy pomocy uszkodzonych i prymitywnie tylko naprawionych aparatów nadawczych, znajdujących się w gondoli „Italii”, rozpoczęła się akcja ratownicza. Pierwsze po śpieszili państwa skandynawskie: Szwecja i Norwegia, które wysłały na Szpicbergi floty le samolotów i najlepszych swoich lotników. Kilka statków wielorybniczych, znajdujących się w północnej strefie, skierowanych zostało w kierunku północnych brzegów Szpicbergów, aby stanowiły punkty oparcia dla ekspedycji ratunkowych. Z Włoch wyruszyły oddziały alpinistów. W Moskwie zawiązał się So wietki Komitet Pomocy, który od rządu rosyjskiego otrzymał do dyspozycji dwa najsilniejsze łamacze lodów: „Krasina” i „Malygina” oraz kilka samolotów, mogących unosić się w powietrzu z pokładów tych łamaczy. Oba te łamacze wyruszyły w drogę w pierwszej poło

wie czerwca. Słynny badacz i podróżnik polarny Amundsen zaczął przygotowywać się do lotu na samolocie, dostarczonym przez Francję.

Po kilku dniach zdołano odszukać grupę Nobilego i stwierdzić położenie, w którym się znajduje. Równocześnie niemal wyruszają Amundsen i szwedzki lotnik Lundborgh w kierunku kry lodowej, na której odkryto rozbitków. Lundborgh odnajduje ją i decyduje się wylądować. Łądowanie udaje się. Ale Lundborgh może zabrać tylko jednego z rozbitków. Kogo zabrać, kto najbardziej potrzebuje pomocy?

Lundborgh nic nie mówi o tem, jak się to stało, że ratować postanowiono przedewszystkiem Nobilego i kto to postanowił. Pasażerem Lundborgha był jednak Nobile.

Dowódca wyprawy, ten któremu z zaufaniem powierzyli się wszyscy jej uczestnicy, dla siebie wykorzystał pierwszą okazję ocalenia życia i w samolocie Lundborgha odleciał na Szpicbergi na pokład czekającego tam włoskiego okrętu „Citta di Milano”. Wyjaśniono to w ten sposób, że obecność Nobilego na tym statku, na pokładzie którego skupiały się wszystkie nici akcji ratunkowej, była konieczną dla kierowania dalszą akcją ratunkową, a przedewszystkiem dla skierowania na właściwą drogę poszukiwań za ową drugą grupą, którą uniósł wicher w niewiadome strony, za grupą Aleksandra. Prócz tego Nobile miał okaleczoną nogę, którą należało jaknajprędzej leczyć.

Wyjaśnienia te, jak się później okazało, nie wytrzymują surowszej krytyki. O grupie Aleksandriego Nobile nie mógł nic powiedzieć jak tylko to, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nikt z niej nie zdołał się uratować, skutkiem czego przestano się wogóle tą grupą interesować w dalszej akcji ratowniczej, a z pomiędzy ludzi, znajdujących się na krze, stan zdrowia Nobilego także nie był najgorszy. Też świat nigdy Nobilemu nie daru-

je, że nie wytrzymał na posterunku, że opuścił swoich ludzi przy pierwszej sposobności.

Na krze pozostało już tylko sześciu ludzi, nad którymi komendę Nobile oddał Viglieriemu.

Amundsen z lotu swego nie wrócił i do dnia dzisiejszego niema o nim żadnej wiadomości. Katastrofa wydaje się pewną.

* * *

Po uratowaniu Nobilego, Lundborgh odleciał po raz drugi na kry, aby ratować pozostałych. Tym razem nie obszedło się bez wypadku. Przy lądowaniu samolot uległ uszkodzeniu i o powrocie myśleć nie było można. Miejsce Nobilego zajął na krze Lundborgh i znów było ich tam siedmiu. Położenie tej grupy było jednak odtąd o tyle cięższe, że zaopatrywana była przez lotników w żywność, a dzięki uzupełnieniu sprzętu radiowego mogła łatwo komunikować się ze światem. Stosunki panowały tam jednak okropne. Mówi o tem Lundborgh w swej relacji bardzo zresztą ogólnie i ostrożnie, ale niemniej ponurej.

Koledzy Lundborgha, lotnicy szwedzcy, czynili wszystko, by go ratować. I wreszcie udało się. Szwedzki samolot wylądował szczęśliwie i zabrał Lundborgha po kilku dniach pobytu na krze. Od tej chwili też Szwecja zaczyna się wycofywać z akcji ratowniczej. Okazało się bowiem, że przy pomocy samolotów grupy Viglieriego uratować się nie da i że trzeba cierpliwie czekać aż „Krasin” utworze sobe do niej drogę poprzez lody.

* * *

„Krasin” tymczasem powoli ale systematycznie posuwał się ku rozbitkom, walcząc z nieprawdopodobnymi trudnościami. Nieraz przyszło mu po kilkudniowych wysiłkach wracać z powrotem, gdyż napotkał na takie zwały lodowe, które oparły się opancerzonej jego piersi i nie pękaly pod ciężarem jego kadłuba. Przy największym wysiłku maszyn i ludzi posuwał się zaledwie o kilka kilome-

Rozmaitości Turystyczne.

NAUKOWE OPRACOWANIE ZAGADNIEŃ TURYSTYKI.

Wzmagający się coraz bardziej ruch turystyczny stał się już w Niemczech przedmiotem badania naukowego. W czwartym wydaniu słynnego dzieła prawniczego „Handwörterbuch der Staatswissenschaften” (G. Fischer-Verlag, Jena) prof. dr. Wilhelm Morgenroth, dyrektor urzędu statystycznego miasta Monachium, zamieścił ciekawą rozprawę o całokształcie zagadnień turystyki. W ten sposób zagadnienie turystyki, niebadane dotąd metodami ściśle naukowymi, zostało naukowo potraktowane w jednym z najlepszych wydawnictw prawnopolitycznych współczesnych Niemiec. Treść rozprawki została zawarta w 4-ach rozdziałach. Pierwszy rozdział omawia istotę i ogólne cechy turystyki; w drugim — prof. Morgenroth zastana wia się nad stosunkami turystyki do spraw gospodarczych, społecznych i kulturalnych; trzeci — rozwija zasady polityki turystycznej, czwarty wreszcie — porusza kwestię statystyki turystycznej. Profesor Morgenroth definiuje turystykę, jako ruch ludzi, którzy opuszczają na czas pewien stałe miejsce swego zamieszkania, by przebywać w innych miejscowościach, celem zaspokojenia swych potrzeb życiowych i kulturalnych lub pragnień osobistych. W miejscowościach swego chwilowego pobytu przebywają turyści wyłącznie w charakterze spożywców dóbr gospodarczych i kulturalnych. Turystyka nie ciągnie przeto żadnych bezpośrednich zysków materialnych z terenów swego działania, lecz przeciwnie, przynosi im korzyści gospodarcze.

Podkreślając doniosłe znaczenie gospodarcze turystyki profesor Morgenroth zaznacza, iż spełnia ona nie tylko funkcje przemysłu eksportowego, lecz stwarza również nowe źródła zarobkowania.

Dwojakie są podstawy polityki, jaką do celów turystyki należy stosować. Pierwsza obejmuje utworzenie dogodnych udogodnień turystycznych, a więc linii komunikacyjnych, hoteli oraz należytego rozwiązania kwestji paszportowej i zarządzeń politycznych — druga dotyczy propagandy.

W czwartym wreszcie i ostatnim rozdziale swej rozprawki prof. Morgenroth zastana wia się nad systemem statystyki turystycznej i domaga się międzynarodowego i jednolitego jej uregulowania za pomocą policyjnych przepisów meldunkowych.

Jednocześnie, dzięki subwencji władz samorządowych Berlina, powstała przy tamtejszej Wyższej Szkole Handlowej katedra, poświęcona turystyce. Badania nowego instytutu będą dotyczyły: 1) społeczno-gospodarczych zagadnień turystycznych, 2) polityki i statystyki turystyki, 3) gospodarki przedsiębiorstw turystycznych, 4) turystyki i istoty

hotelarstwa, 5) zagadnień prawnych turystyki, 6) techniki turystyki światowej i 7) geografji turystycznej.

WEEK-END W AMERYCE.

W Anglii i Ameryce słowo week-end jest ogólnie przyjętym mianem cotygodniowego w porze letniej półtoradniowego wyjazdu ludności z miast na wieś... W sobotę, po południu, po zamknięciu biur i magazyków setki tysięcy mieszkańców miast angielskich i amerykańskich opuszczają duszne mury miejskie, by resztę dnia sobotniego i całą niedzielę spędzić na łonie przyrody. Instytucja week-endu nie od razu stała się tak popularną. Przyczyniła się do tego, przez długi czas prowadzona, intensywna i umiejętnie kierowana propaganda. Naturalną zachętą do „week-endu” dla amerykańskina stanowiły wielkie jeziora amerykańskie, piękne wybrzeża oceanów, dzika przyroda parków naturalnych, wreszcie potężne rzeki, dostępne nawet dla okrętów morskich, oraz świetnie utrzymane drogi jezdne. Walka konkurencyjna trustów kolejowych, okrętowych i hotelowych, prowadzona celem uzyskania jak największej ilości klientów, powołała do życia tysiące udogodnień, uprzyjemniających amerykańskiniowi pobyt na wsi. Do spopularyzowania week-endu w Ameryce, przyczynił się również olbrzymi rozwój automobilizmu. Spędzanie się ruchu automobilowego sprzyja również i rozwojowi campingu. Camping, to spędzenie pewnego czasu na łonie przyrody, we własnych, przywiezionych z sobą namiotach lub też w drewnianym baraku, które stawiają wielkie firmy budowlane w odludnych, a pięknych okolicach i wynajmują je na lato za niską opłatą. Wreszcie luksusowe urzędzone „kluby wioskowe” (Country-Clubs) umożliwiają amerykańskiniemu spędzenie week-endu poza miastem w sposób najbardziej przypadający mu do gustu. Tysiące spędzają swój week-end na specjalnych okrętach, płynących po takich rzekach jak Hudson i Mississippi lub po wielkich jeziorach i t. p. Okręty służące do tego celu, mają często cztery pokłady i do dwóch tysięcy miejsc sypialnych, a prócz tego olbrzymie hale, sale na czytelnictwo, bawialnie, jadalnie i t. p. Ceny jazdy na tych parowcach są obliczone jak najprzystępniej. Dziesięciogodzinna jazda np. z New-Yorku do jakiejś miejscowości na brzegu rzeki i z powrotem kosztuje zaledwie 5 dolarów 25 centów. Towarzystwa okrętowe wchodzą przytem w kontakt z linjami kolejowymi i autobusowymi i wydają bilety kem binowane, umożliwiające jazdę przy pomocy wszystkich trzech środków lokomocji.

STULECIE ISTNIENIA FIRMY BAEDECKERA.

Słynna na świat cały księgarnia podróznicza Baedekera w Lipsku obchodzi w roku

bieżącym stulecie swego istnienia. Znane w całym świecie przewodniki Baedekera powstały z dorywczych notatek, które Karol Baedeker, założyciel firmy, czynił w swych pamiętnikach z podróży. Karol Baedeker pisał swe turystyczne pamiętniki piśmem nie małym mikroskopijnym, przyczem zwracał głównie uwagę na rzeczy praktyczne i pozytywne, pomijając prawie zupełnie romantykę turystyczną. Pierwszym przewodnikiem K. Baedekera był niewielki przewodnik po Renie, oparty na dawniejszej pracy tego samego typu prof. Kleina. Klein w przewodniku swym zamieścił niemal wyłącznie entuzjastyczne opisy malowniczych okolic Renu. Baedeker natomiast usunął większą część owych romantycznych opisów, wstawiając na ich miejsce szereg praktycznych wskazówek, dotyczących podróży na Renie. Przewodnik podróży po Renie był początkiem przyszłej potęgi turystycznej firmy wydawniczej, która po dziś dzień pozostaje w rękach wnuka założyciela. Następny przewodnik Baedekera dotyczył podróży po Niemczech, następnie traktowały o Holandji, Szwajcarii, Austrii, Wenecji i Krakowie. W r. 1859 K. Baedeker zapoznał się ze szkotem o nazwisku Kirkpatrick. Szkot zaproponował Baedekerowi wydanie swych przewodników w języku angielskim. Baedeker przystał na tę propozycję i w r. 1864 wydał pierwszy swój przewodnik w języku angielskim. Syn starego Baedekera zreorganizował firmę ojca zarówno technicznie jak i redakcyjnie, przenosząc się jednocześnie z Koblencji do Lipska.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES TURYSTYCZNY.

Od roku 1925 odbywają się corocznie międzynarodowe kongresy urzędów propagandy turystycznej państw europejskich. — Pierwszy z nich z inicjatywy Holandji zebrał się w r. 1925 w Hawrze, drugi w r. 1926 w Pradze Czeskiej, trzeci odbył się w końcu września i w połowie października roku ubiegłego w Jugosławii. W kongresach tych bierze udział zazwyczaj po kilkanaście lub dwadzieściami osób, a zaproszone bywają na nie w pierwszej linii państwowe urzędy turystyczne, względnie referaty turystyki przy odnośnych ministerstwach. Z tych zaś krajów, w których niema państwowych urzędów turystycznych, zaproszone bywają instytucje społeczne, poświęcające się nie opiece nad turystyką, lecz propagandzie turystycznej t. j. rozwijaniu agitacji celem ściągnięcia do kraju turystów zagranicznych, przedewszystkiem amerykańskich. Każde państwo może być na kongresie reprezentowane tylko przez jedną instytucję, przedewszystkiem przez Państwowy Urząd Turystyczny, a ostatnio zastrzeżono też, aby z każdego państwa przy był tylko jeden delegat. Biura podróży, jako instytucje na zysk obliczone, są wykluczone od uczestnictwa w kongresach. Kongres

ostatni był pomysłany jako kongres wędrowny, gdyż każde posiedzenie odbywało się w innej miejscowości. Rząd jugosłowiański, którego gośćmi byli uczestnicy, ułożył program kongresu w ten sposób, iż w czasie jego trwania zwiedzono najpiękniejszą część Jugosławii.

Obfity porządek dzienny kongresu obejmował 33 punkty, to też dla jego wyczerpania potrzeba było kilkunastu posiedzeń. Najważniejszym punktem porządku dziennego była koordynacja z działalnością państw europejskich w kierunku propagandy turystycznej w Ameryce. Ustalono tekst wspólnej broszury o osobliwościach turystycznych krajów europejskich, która w chwili bieżącej znajduje się już w druku, a która w ilości 100.000 egzemplarzy ma być rozkolportowana w Stan. Zjednoczonych Ameryki. Sekretarjatu Generalnemu przekazano wniosek polski, aby wydać krótki przewodnik po Europie w języku angielskim i rozdać go bezpłatnie na pokładach parowców atlantyckich turystom amerykańskim, udającym się do Europy. Postanowiono również wydać w krótkim czasie zbiorowy afisz propagandowy dla Ameryki, zachęcający do podróży po Europie oraz, o ile możliwości, dla zmniejszenia kosztów zakładać wspólne biura podróży w Ameryce. Postanowiono też, dla ułatwienia orientacji turystom amerykańskim w Europie, wydać marszrutę najważniejszych wycieczek po Europie zarówno koleją, jak i automobilami, przy uwzględnieniu wszystkich państw, reprezentowanych na kongresie.

Czwarty kongres urzędów turystycznych odbędzie się w ciągu roku bieżącego w Budapeszcie. L. R-ow.

Krewki konsul

Wiedeński dziennik „Der Tag” przynosi dosłowny tekst listu, wystosowanego przez konsula włoskiego w Morawskiej Ostrawie do redakcji niemieckiego dziennika „Der Tagesbote” w Bernie Morawskim. Jedyny ten w swoim rodzaju dokument dyplomatyczny brzmi jak następuje:

Królewsko-włoski
Konsulat
Morawska Ostrawa
6. lipca 1928 — roku VI.
1049/p.
P. T. Redakcja „Der Tagesbote”
BRNO.

Naganka, jaką panowie prowadzicie przeciw generałowi Nobile, jest tak bezsensowna i idyotyczna, że nie zasługuje na żadną replikę. Panowie nie jesteście dziennikarzami, jesteście nędznymi i podłymi tchórzami, którym możnaby co najwyżej napluć w twarz. U. Dadone.

trów przez dobę. W czasie tej podróży lotnik sowiecki Czuchnowski na samolocie, znajdującym się na pokładzie „Krassina”, podejmował loty, szukając reszty rozbitków i badając położenie grupy Viglieriego, które zmieniało się, gdyż grupa ta znajdowała się na krze ruchomej. W czasie jednego z takich lotów Czuchnowski odkrył grupkę Malmgrena i zawiadomił o tem „Krassina” i stację włoską na pokładzie „Citta di Milano” w Kingsbay. Sam jednak uległ wypadkowi i musiał lądować w lodach.

Tymczasem „Krassina” dotarł do kry, zabraw na pokład znajdujących się tam sześciu rozbitków „Italji”, a następnie dotarł do miejsca wskazanego przez Czuchnowskiego i znalazł tam dogorywających prawie dwóch włochów: Mariano i Zappiego. Malmgren już nie było. Według zeznań włochów, Malmgren chory i z połamaniami członkami dobrowornie został w drodze, oddał im swoją żywność i ekwipunek, prosząc by nie zważali na niego lecz sami się ratowali. Miejsce, w którym „Krassina” znalazł Mariana i Zappiego od dalone było zaledwie o kilka kilometrów od grupy Viglieriego i „Krassina” w ciągu jednej doby dotarł do niego.

Od chwili uratowania Nobilego zaczynają się podnosić głosy krytyki i zarzuty pod jego adresem. Pierwsze bardzo ostre zarzuty sformułowano w Norwegji, która poddała się usprawiedliwionemu rozżaleniu pod wpływem niepokoju o losy Amundsena, wprawdzie w ojczyźnie swej, Norwegji, niezbyt popularnego, ale zbyt głośnego i sławnego, by jego tragiczny los nie miał poruszyć do żywego norweskiej opinji publicznej. W Norwegji podniesiono zarzuty natury facheowej. Zaczęto twierdzić, że cała wyprawa „Italji” była krokiem karygodnie lekkomyślnym, że Nobile, który już w czasie wyprawy „Norge” w roku 1926 zazdrośnie starał się pomniejszyć sukces Amundsena, wysuwając się przy każ-

dej sposobności na pierwszy plan, trawiony był gorączką ambicji i pragnął zaćmić swego nauczyciela. Pod wpływem tej chorobliwej ambicji Nobile zlekceważył szereg rad i wskazań facheowców i porwał się na przedsięwzięcie, do którego ani on, ani jego sterowicze nie byli przygotowani. Całą odpowiedzialność za tragiczny koniec wyprawy i za losy Amundsena zrzucano na Norwegji na Nobilego i doszło do tego, że zaczęto domagać się tam sądowego śledztwa w całej tej sprawie.

Zaledwie w Norwegji conieco ucichło, zaczęło się w Szwecji. Najpierw Szwedzi nie mogli darować, że wyratowanie Nobilego pociągnęło za sobą długie dni niepewności o losy Lundborgha, a po wyratowaniu Lundborgha, opowiadanie jego, aczkolwiek niezmiernie ostrożne i oględne, dolało jeszcze oliwy do ognia. A gdy na dobitkę rozeszła się wiadomość o tajemniczej śmierci Malmgrena, oburzenie buchnęło w Szwecji wielkim plomieniem. Już nie krytyka ani zarzuty mniej lub więcej uzasadnione, ale wprost oskarżenia i inwektywy.

Malmgren był znanym uczonym szwedzkim, człowiekiem młodym, którego przyszłość jaknajbardziej obiecująco się zapowiadała. Przypomniał sobie naraz, że Malmgren przed odlotem do bieguna wysunął szereg wątpliwości i zastrzeżeń w sprawach, w których był miarodajnym i kompetentnym, i że Nobile nad tem przeszedł do porządku dziennego, traktując wyprawę jako czyn junacki i ryzykancki. Relacja Mariano i Zappi nie znajduje w Szwecji ani cienia wiary. Dlaczego właśnie Malmgren pierwszy ustał w drodze, a nie Zappi lub Mariano? On, człowiek północy, który nieraz już wędrował w pustyniach lodowych — jeżeli zdecydował się na taki marsz, musiał brać pod uwagę swoje siły. A jeśli nawet i prawda, co mówią dwaj włoski, to jak rozumieć to, że skazując się na śmierć, zadowolona i czule rzekomo żegnając

się z towarzyszami, nie skreślił ani jednego słowa pożegnania i pociechy dla swojej matki staruszki, którą kochał tkliwie i o której zapewne ani na sekundę nie zapomniał? A gdyby nawet nie brać pod uwagę uczuć synowskich, to przecież powinien był on sam lub jego towarzysze pomyśleć o tem, że ten kto przeżyje i uratuje się, może potrzebować będzie świadectwa wobec świata, że w tych strasznych warunkach do kańca był człowiekiem, że nie zamienił się w obliczu śmierci w zwierza drapieżnego!

Okropne są te oskarżenia i insynuacje pod adresem Nobilego. W prasie szwedzkiej, a za nią w pismach całego świata zaczęło się od wielkich nagłówków „Generale Nobile, powiedz pan prawdę!” A pod tymi nagłówkami mrozące krew w żyłach przypuszczenie, że Malmgren zginął z wiedzą Nobilego, że chodziło o usunięcie niewygodnego świadka kata strofy, która nastąpiła dzięki karygodnej lekkomyślności kierownika wyprawy, że stąd ta chęć Nobilego uratowania się przed wszystkimi, aby zapobiec rozszerzeniu się pogłosku, aby uprzędzić krytykę.

Zawrzało i we Francji, która oplakuje już jednego ze swych sławnych lotników, pilota samolotu, na którym leciał Amundsen. Paryski „Matin”, najpoważniejszy organ francuski, bez ogródek zaatakował Nobilego i poczynił mu szereg zarzutów. Zareagowała na to prasa włoska, ale w sposób histeryczny, nazywając te wystąpienia aktem antywłoskim i obrażając uczuć narodowych włoskich i powagi państwa włoskiego. Takie wystąpienie do uspokojenia się umysłów nie przyczyniło się i Nobilemu nie pomogło.

I dziś, gdy Nobile z kilkoma swoimi towarzyszami wraca do Włoch, zastanawiają się, czy bezpiecznie będzie puścić pociąg z salonowym wagonem Nobilego przez wielkie miasta szwedzkie. Rozeszła się także pogłoska, że wagon Nobilego będzie zaplombowany...

Lotnik sowiecki Czuchnowski zapowiada ogłoszenie szczegółów, które zaobserwował,

gdy spostrzegł grupę Malmgrena. Twierdzi on mianowicie, że w tej chwili było jeszcze na lodzie trzech ludzi — „Krassina” znalazł już tylko dwóch.

Przyszłość pokaże, czy ta ponura i tragiczna tajemnica zostanie wyjaśniona...

* * *

Bilans wyprawy Nobilego? Z szesnastu ludzi załogi „Italji” uratowano wraz z Nobilem dziewięciu. Zginęło dwóch: Malmgren i maszynista „Italji” — pięciu ludzi z Aleksandrim na czele świat uważa już także za zgubionych. Gorzej niż niepewny jest los Amundsena i pilota francuskiego Guilhaux, który kierował jego samolotem. To najcięższe straty, nie licząc już żadnych innych, związanych z olbrzymią międzynarodową akcją ratowniczą.

A korzyści? Żadnych. I jest wogóle wątpliwem, czy wyprawy do bieguna północnego mogą przynieść jakie realne korzyści ludzkości, względnie nauce. Żadnych takich tajemnic niema w tych pustyniach lodowych, dla których oplacałoby się narażać życie ludzkie. A tych kilka szczegółów z zakresu nauki o ziemi i zjawiskach elektromagnetycznych i meteorologicznych, które tam możnaby ewentualnie zdobyć, nie zasługują na to, aby tak drogo za nie płacić.

Gdy jakiś szaleniec drapie się na wysoką wieżę, zjawia się straż pożarna i zdejmuje go, chociażby nawet twierdził, że drapie się tam, aby zbadać, czy na górze wiatr wieje i z której strony, a jeśli się upiera przy swoim przedsięwzięciu, pakuje go do domu obłąkanych. Może należałoby stworzyć taką między narodową straż pożarną dla zawracania z drogi ludzi, chcących koniecznie dostać się do bieguna. Byłoby to praktyczniej i taniej, niż późniejsze międzynarodowe akcje ratownicze.

Stanisław Horwat.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Cztery działania

Tak właśnie zagospodarowała się w tym roku przyroda, że zaledwie na kilka dni lipcowych słońce miało prawo rozpalć bruki i mury. Żółta spiekota wypełniła miasto, a południem wybielało niebo w żarze. Oczy stały się więc mętne, a usta pasowe od gorąca. Za storami oddychało się ciężkiem, rozgrzanem powietrzem, że każdy wydawał się sobie tyka czem ognia. A mimo to, mówiło się: Nareszcie mamy lato!

Kiedy więc na rozmiękłych asfaltach znaczyły się ślady stóp, a na rogach ulic wyrastały słupy kurzu, ludność Warszawy odpłynęła burzliwą falą ku dworcowi. Bodaż ku Radościom, Milanówkom i rozmaitym Urłom wyemigrowały leżaki, żelazne łóżka i toboły z pościelą. Uciekano, jak przed zarazą, nagle, z pośpiechem, z głosem zatrząskiwaniem drzwi, zostawiając tylko kłódki, niby serca, na straży mieszkań.

A kto już koniecznie musiał zostać w lepkiem pocie pracowitego miasta, ten, ledwie do czekawszy się wieczora, szedł w Aleje, czy do parków i walił się na ławkę, myśląc leniwie: Lipy pachną. I tak powoli zmierzch wychładzał kipiący war, stawało się najpierw zielono i przejrzyste, poczem mętniało, szarzało i noc przywierała do zrenic granatowym, miękkim jedwabiem. Latarnie, jakby wpięte w korony drzew, rozświetlały liście w zielonawy mosiądz, z pod pni spłynął cień i ruszył się wiatr od Wisły. Wtedy można już było usta otworzyć na głęboki oddech i zamrugać gwar rozmów.

Lecz byli w Warszawie ludzie o tyle „wyróżnieni losem”, że mogli autami rozpędzić się poza rogatki. Już w mieście zwirowało się powietrze na twarzach, a przez Ujazdowską pędziło się piasko w wozie drzew. Wzrok ciągnął długą wstążkę światła i strzępy muzyki wypadały z ogródków, czepiając się uszu, które nie chciały już słyszeć miasta. Belweder zabielił się filarami i wyciągnął dwa skrzydła za naszym odlotem. Z górki szedł potem pęd między wille, wśród których wrywały się place, wypełnione zielonym zmierzchem.

Szosa w zmiennych kapryśkach ścielila się raz gładko, to znów karbowala się w wyboiska i dygotała bulwami kamieni. Dmuchały gęste kurze, niczem dymy z podziemnych ognisk i zawisły nad polami ciężko, jas mgły Rzęsy stuliły się i pobielaly, spudrowane pyłem, różmiane zęby zagrzytały piaskiem. Z latarni samochodów wysunęły się świetliste mioty i cięły prętami promieni poprzez szarą gęstwę. Trochę zapachu siana przedarło się ku nam pociechą, że jednak i ten kur jest już zamiejski, niemal wsiowy i pewnie zawiera mniejszy procent bakcyliów, a trochę zapalenia oczu nie zaszkodzi, przecież po miłej przejażdżce!

Zresztą do Wilanowa pojechać w zamkniętym wagonie kolejki, która właśnie kolebie się na szynach i trylem gwizdawką straszy krowy, wracające z pastwiska. My jednak wydmaliliśmy pogardliwie wargi, szyszak ze spoczonego „samowarka”, z kopcającego komina i osmołonych wagoników. W tem mijaniu się dwóch epok lokomotywy ujawniła się pyszałkowatość współczesności. A należało może uśmiechnąć się wdzięcznie do długich lat służby, które ma za sobą wilanowska kolejka, należało może czułem wspomnieniem oddać jej część, że tak tu balansuje jeszcze i przewozi ludzi, sapiąc, prycając, mozoląc się tam i z powrotem.

Tymczasem dzień dzisiejszy wyprzedził ją wrzaskiem trąbki samochodowej i jeszcze nie było mu dość. Chciałby tu bowiem mieć gładziutki, pyłochłonny asfalt pod kołami, albo pośpieszny bieg kolejki elektrycznej. Niecierpliwym się do tego jutra, które przypoobni nas do Europy i między Warszawą a Wilanowem ubije „reprezentacyjną szosę”, zasieje tu zielenie, wygrodzi bulwary, pomierzy boiska, zabuduje Saską Kępe. Czas się dłużej naszej zamerykanizowanej wyobraźni, która twoży, zmienia, ulepsza przez noc.

W alei dojazdowej szumi ta noc w liściach i wilgotnieje tchem pobranych traw. Nie widać stąd palacu, który coinał się ku strzyżynom szpalerom parku. Gdzieś tam może ku wiślanej fasce schodzi Marysienka, drobniak nóżkami, albo sam Jan III ciężko wzdycha nad swoją wyżytą dolą. Albo jest cisza, wcale niepamiętna dawnego życia, rozpaczała kwiatami na klombach dla oslepiłych z namiętności owadów. I tylko głębszy cień wrył się

w barokowe zawijasy ozdób palacu, aby potem przetrwać tu pleśnią, niby zielonym oddechem nocy.

Takie to, nic nie znaczące, może nawet tylko w nawyk wplątane refleksje wiją się po mózgu, gdy samochód stoi już w rzędzie licznych pojazdów przed wilanowską restauracją. Biała ścieżka piasku idziemy wśród miodego oddechu kwiatów, a latarnie, jak żółte dynie, urastają nad naszymi głowami. Nogi stółków i krzesel rysują się cieniem, niby zagmatwane, geometryczne wykresy na szarym arkuszu. W szepcie jaśminowych krzaków dzwonią komary, a przy świecach, osłoniętych szklanymi kielichami tłuką się oszalałe głowy ciem. Wewnątrz, w restauracyjnym domu, muzyka gra natrętnie i turkot motoru elektrycznego nie może pochwylić taktu blues'a.

I gdy się tu siedzi nad jakimś jadłem, przez długi czas nie ma się ochoty spojrzeć na ludzi, którzy tak samo, jak my, obsiedli stołki i świeca twarzami, skupiając na sobie blask lamp. Każda grupa „gości” ma tu swój teren działania, swoje sprawy na ustach i swoją myśl pod czaszką. Znieśli tu z rozmaitych stron Warszawy swoje powszednie toboły — dla przewietrzenia. Bo nie tak łatwo oderwać się kilkunastominutową jazdą od codziennego życia i ani się to da wygłaszać na białym obrusie restauracyjnego stolika, ani zatopić w czubatej pianie piwa. Czyż wesoły śmiech i trochę rozpusty jest jeszcze śmiechem ukarminowanych ust miasta. A czyż gruchający głos mówi te same słowa, które tak dyskretnie przygłuszał jazzband „Oazy”, czy „Claridge'u”.

Więc też, gdy się to wszystko pomyślało i słyszało, oczy mogą już teraz podpatrywać niewytrzymalność bliźnich na wdzęk obnażonych ramion i na musujący szampan. Jest tu bowiem ta sama śmieszność i parująca ważność ludzka, ten sam restauracyjny obyczaj, przebierający z długim namysłem w spisie potraw. Nic się tu nie może ukryć — ani rodzina, ziewająca nuda, dziobiąca widelcami w mizerji, ani słomiane wdowieństwo nad miseczką zsiadłego mleka. Ujawnia się też wszem wobec sezonowa miłość, zdradzona uświadczaniem kelnera nad wystawną kolacją. Na wet bankietowanie mężczyzn przy największym stole odkrywa tajemnicę ubitego interesu. Wazy z rakami i niklowe kubki podpisują umowę, a tytuły klaszczą poprzez stół od „pana naczelnika” do „pana inżyniera”. Cmokczą szybki rakowe w łakomych ustach, lysiny rumienia się i błyszczą tłusto, jak gumowe balony, jedyna broda kędzierzawi się czarno, jak u maga i tylko ten najmłodszy z wystrychowanymi ramionami cieszy się z okazji i pije trochę nad miarę.

Więc ostatecznie wydaje się już wszystko jedno, skoro miasto zasiadło tu do wszystkich stolików, a dym papierosów nie może przepędzić komarów. Wracamy zpowrotem do Warszawy, trąbiąc w noc, w zię oczy rozpedzonych samochodów. Mijamy po drodze wozy z jarzynami, oświetlone od dołu latarnią. Widzi się więc wiankiem strzępiącą się, ciemnozieloną nać pietruszki i marchwi, jak śnieg bielące się kalafiorcy, zbitą, główką przy główce cebule, młoda, jeszcze żółtawa, jak kość sioniowa. Czasem w przelocie zapachną i dziwnie zabarwią się snopy lewkonji. Szturem, szturem wloką się wozy ku miastu, konie, przykryte derkami, dźwigają podkute kopyta, woźnice wtulają drzemające głowy w ostrą woń jarzyn. Przy wjeździe na teren Warszawy policjant, migocący srebrem naszywek, no tuje jednego po drugim — więc zwolnione w biegu samochody i leniwo rozkołatanne wozy.

Teraz już pod górę terkoce motor, jakgdyby dari białe ściany will. Poza sztachety wzbuchają galezie drzew, niby niskie chmury i echo klaszcze w belwederskim parku. Północna godzina tłumi się jeszcze w Warszawie. Reklamy spieszą się w girlandach, wypalają migotem jakieś polecające słowa, jakieś wesołe, wszystkim, zda się, potrzebne blaski miejskiego życia. Bielmem zasnutę oko nocnego tramwaju patrzy sztywno we wnek ulicy, a nad rozkopami jezdną na Nowym Świecie czerwieni się nisko ostrzegawczy płomyk. Szarzy ludzie przypadli tu do ziemi zgiętymi grzbietami kładą kostkę przy kostce, dzwonią młotkami o kamień. I wtedy ciężka ręka szarpie gwałtem za serce, niby za kłamek zamkniętych na klucz drzwi. Otwiera się ciemna, pusta noc wieczystej niesprawiedliwości: Dlaczego jednym tak, a drugim inaczej? Dlaczego jest bolący grzbiet przy najcięższej, kamieńmiarskiej pracy i wygodne rozpięcie się w aucie?

No, moja Dzidziuchno!..

Mam niewidzialną sąsiadkę.
Słyszę ją tylko... ach słyszę! Rzadko — bo w chwilach, gdy oddaje się tualecie na poddaszu, służącem za ubieralnię i łazienkę — rzadko, ale intensywnie. Zresztą owa pani przebywa mało w swym pokoju, albowiem nie znosi samotności (ponadto boi się burzy, przepada za poziomkami, jest szalenie wrażliwa, poprostu jeden nerw od stóp do głowy, o byle co zaraz skacze do góry, tak się przejmuję). Ale właśnie tak się zdarza, że przyjmuję wizyty wtedy, gdy oddaje się rozkoszom zimnej kąpieli przy otwartem naupał oknie.

Trudno! Ona słyszy moje pluskanie, ja słyszę jej świergot. Ja jej zapewne nie przeszkadzam, a w każdym razie nie krepuję, ona zaś mnie interesuje w wysokim stopniu.

Wczoraj stał się cud.

Przybyła pewna przyjaciółka, która pobili rekord elokwencji, ale to o niezliczoną ilość punktów.

Moja sąsiadka ledwie, ledwie wykrztusiła pytanie:

— I cóż ta wycieczka...

— Wycieczka! Nie mów mi nawet o tej wycieczce! Przenigdy sobie nie wyobraziła! Mówię ci Dzidziuchno, wprost pojęcia mieć nie możesz! I powiedziec, że ja się dałam nabrać, ja, i nawet się przed tobą chwaliłam, że mi się taka cudna wycieczka szykuje, to nie do pojęcia. Czekaj. Więc wyobraź sobie, przyjeżdżamy do tego Torunia, a w dodatku wzięliśmy zły pociąg, bo tak głupio nam poradzono na dworcu, i ten Kazik wiecznie krzyczy za tą oszczędnością, jakby to była oszczędność stracić czas, ubranie zniszczyć, dostać takiej migreny, że Jezus Marja, no i tłuczemy my się, jak w kojcu, pościelkami, że mówię ci, nie masz wyobrażenia, a trzeba ci wiedzieć, że Nela przedtem telefonowała, nawet na własny koszt, bo ona ma połączenie międzymiastowe, ale co to trzeba czekać, to nikt nie ma pojęcia, więc do tego Szustra czy Szmita, z zapytaniem co i jak, a ten jej powiedział, że wszystko będzie, że nic, hotele tanie, obiady, rauty, przyjęcia, słowem używanie, człowiek złapał się na obietnki, no i wyobraź sobie jedziemy. Naturalnie, ani mowy o spaniu, przecież ile nas tam było, to wszystko przechodzi, to coś niesłychanego takie zbiorowe wycieczki, przedewszystkiem niby jedno towarzystwo, a nikogo, się nie zna i człowiek sam nie wie, czy się przedstawiać, czy co, bo niektóre fizjognomje tego rodzaju, że nie dziwiłabym się, gdyby coś zginęło, a zareczal ten Szmit, że najwytworniejsze towarzystwo, zresztą co on mógł wiedzieć, niby organizował, a nic na oczy nie widział z całego interesu. Pomyśleć, że jeszcze lą ludzie, którzy mają czoło twierdzić, że na tem Pomorzu czy w Poznańskim taka akuratność we wszystkim! Więc wyobraź sobie Dzidziuchno, jedziemy, w drodze spory, awantury, ten chce otwierać okno, ten gwałtem zamyka, ten pali, tamtego nudzi, o mało co nie doszło do pojedynku, musieliśmy z Nela rozbrajać, perswadować, nawet nie wiemy komu, bo tacy panowie wstydzą się widocznie swoich narzów i żaden się nie przedstawi, wogóle chamstwo skończone. Więc wyobraź sobie przyjeżdżamy, szósta czy któraś tam rano, ondulacja na nic, a tak mi artystycznie ucze-

sał Bronisław, że wprost płakać się chciało, i twarz też możesz sobie wyobrazić po takiej nocy! Więc wyobraź sobie moja Dzidziuchno, myślimy, że tam już wszystko czeka gotowe i tylko jechać do hotelu, aha, nic z tego, ani psa na tym dworcu, buda jakaś niemiecka i wogóle ta brutalność tych ludzi, myślisz, że się kto przejmnie? Nic, czekamy, wyobraź sobie, do jakiejś godziny chyba że ósmej, dopiero zjawia się jakiś wymoczek, ale powiadam ci fajlapa ostatniego rządu, istny poznański niedorajda, i mówić, że to rozgarnięci ludzie! Więc wyobraź sobie, ten bubeł nie wie, nic nie rozumie, na wszystko kiwa głową, jak osioł, kompletnie zahakany mówię ci! Trzeba ostatecznie zjeść jakieś śniadanie, więc wyobraź sobie, jemy to śniadanie na tym dworcu, czekaj, kichnę czy nie kichnę...

— Straszne takie czekanie! Ja wiem, co to jest, przecież jak także...

Druga pani już zdążyła kichnąć i z zasobem nowych sił meffa dalej:

— Więc wyobraź sobie wyduszamy wreszcie z tego kpa, a to idjota jakiś, blondas bez energii, bez niczego, w kołnierzyku krochmalonym, jak za króla Cwieczka, więc wyobraź sobie wyduszamy z niego, że taki i taki dobry hotel, że nie tak drogo, jedziemy my do tego hotelu, jeden pokój dla mnie i Neli, drugi dla Kazika i Zbysia, owszem, ładne, ale co się dowiadujemy, dwadzieścia dwa i dwadzieścia cztery złote od każdego numeru! Niech mi teraz kto będzie śmiało powiedziec, że w tym Poznaniu są solidni ludzie, oczy mu wydrapie, jak mię tu widział! No i wyobraź sobie, tu już dzwiała, a o dziewiątej mamy wszyscy być gdzieś tam i coś tam zwiedzać, niech mi kto powie poco! Ani mowy o szukaniu innego hotelu, ani umyć się, przebrać, no nic! Naturalnie Nela w płacz, Kazik wściekły nawymyślał im od ostatnich, i mnie się oberwało, że to ja naparlam się tej wycieczki wyobraź sobie, przy ludziach! Ten człowiek nie ma pojęcia, co to delikatność. Więc obie z Nela poszliśmy do tego pokoju, naturalnie do tego drogiego, co było robić, i przecież ani mowy umyć się, ani przebrać, o ondulacji też ani marzyć, zresztą jacy to mogą być trzejrzery w takiej dziurze! Na cały dzień program przecie ułożony godzina po godzinie, to dobre dla koni wojskowych, albo do jakiegoś cyrku, ale czy kto jest w stanie coś podobnego wytrzymać? Mnie się w głowie kręciło na samą myśl o tem, więc obie w Nela położyłyśmy się do łóżek i przepłakałyśmy cały dzień, wyobraź sobie, cały dzień! Kazik był taki nieznośny, chciał koniecznie nas ciągnąć na to głupie zwiedzenie, ale co nas to mogło obchodzić, wreszcie się rozżościli, powiedział, że to wyrzucone pieniądze i nietylko sam się zabrał, ale jeszcze Zbyszka zbalamucił, wyobraź sobie! Naturalnie ondulacja na nic, zresztą po tej kolei i tak była ruina, i obie z Nela zapuchłyśmy tak strasznie, że całe szczęście, powiadam ci, że się znów nocą jechało...

Zaległa cisza tak śmiertelna, że zgroza mię zdjęła i lęk, czy też biednej mojej sąsiadki nie udusił nawał niewymówionych słów. Dopiero po chwili dobiegł mię tłumiony szloch na dwa głosy: obie panie tonęły we łzach.

T. Brudzewski.

„Smiejmy się, kto wie czy świat potrwia jeszcze trzy tygodnie”.

„Cyrulik Warszawski”

Najlepszy w Polsce

Ilustrowany Tygodnik Humorystyczny

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach T-wa „RUCH”.

Herminja Naglerowa.

TEATRY ŁÓDZKIE

Miniony sezon Teatru Miejskiego

Dyrekcja Łódzkiego Teatru Miejskiego ogłosiła sprawozdanie cyfrowe z sezonu 1927/28, rozpoczętego w dniu 14 września roku zeszłego.

Według tego sprawozdania Teatr Miejski dał ogółem 404 widowiska, wypełnione przez 35 sztuk, w czem oryginalnych polskich 12. Widowska te ściągnęły do teatru 203,590 widzów za biletami płatnymi. Średnio zatem przypada na jedno widowisko 504 widzów. Z tej ilości 404 widowisk 50 przypada na przedstawienia specjalne dla sfer robotniczych, które dostarczyły 35,007 widzów, w czem 5,100 bezrobotnych za biletami bezpłatnymi.

Dla wyciągnięcia wniosków z liczb powyższych sięgamy do urzędowego miejskiego rocznika statystycznego, by zacerpnąć zeń pewien materiał porównawczy. Niestety jednak ostatni rocznik kończy się na danych, dotyczących sezonu 1925/26, z czego powstaje luka jednego sezonu.

Porównanie upoważnia do wniosku, że sezon ostatni znamionuje postęp bardzo znaczny. Jakkolwiek większa ilość widowisk w niektórych z lat ubiegłych może przypuszczać, że statystyki urzędowe obejmują dłuższe nieco okresy, niemniej jednak w żadnym z tych sezonów nie osiągnięto tej ogólnej ilości widzów: najwyższą ilość 181,000 dotyczy sezonu 1922/23 przy 416 widowiskach. Najwyższą przeciętną na 1 widowisko (w tymże roku) 435. W stosunku do sezonu 1925/26 (pierwszy sezon dyr. Szyfmana) ogólny wzrost frekwencji wynosi około 22 procent, wzrost przeciętnej na 1 widowisko zaś 30%.

Moznaby porównać słuć więcej, nie chcemy jednak obciążać tem artykułu, w ramach którego zresztą całość zagadnienia, t. j. nie tylko stosunek publiczności do teatru, ale i jego kierownictwa do sztuki, zmieścić się nie dała. Pozostawiając to zadanie przyszłemu historykowi sceny polskiej w Łodzi (dla użytku którego należałoby póki czas koniecznie uratować materiały b. Towarzystwa Teatralnego), postaramy się podejść do świeżo opublikowanych przez Dyрекcję liczb od innej nieco strony.

Jakie widowiska najbardziej pociągały publiczność?

Rekord bije „Kredowe Koło” ze swemi 51 spektaklami i średnią frekwencją 617 widzów. Zawodnem byłoby wysnuwać z tego wnioski o walorach literackich dzieła. Niewątpliwem natomiast wydaje się, że jego barwność i bajkowość rozczarowały wielką sile przyciągającą, w dodatku znakomicie wspomaganą przez doskonałe wprost wykonanie. Zasługę zatem dzieli autor z reżyserją i zespołem artystycznym. Wniosek o sile przyciągającej współczynnik fantastyczności potwierdza powodzenie „Peer Gynta”, który osiągnął 25 powtórzeń, mimo, że przecie głębsza treść zawilej symboliki tego dzieła nie mogła być zrozumiana przez 14,683 widzów, którzy bardzo gęsto zaludniali widownie. Do tego samego wniosku wreszcie doprowadzają również 23 przedstawienia „Don Juana” i 22 „Golema”. 21 przedstawień „Dziadów” i 17 „Księża Niezłomnego” stanowią sukces rozwoju szkolnictwa, co niewątpliwie potwierdziłaby brakująca w opublikowanej statystyce liczba frekwencji młodzieży szkolnej. Nie przeczy temu bynajmniej mała, bo zaledwie 10 przedstawień obejmująca, ilość przedstawień „Wyzwolenia”, które bez bardzo dobrego przygotowania pozostaje dla młodzieży (i nie tylko dla niej) niedostępne. Natomiast tylko 13 przedstawień „Grubych ryb” wylumaczony należy jedynie tylko tem, że jubilat — Frenkiel nie mógł użyczyć Łodzi dłuższej gościny. Małą zaś ilość wieczorów, wypełnionych przez „Zemstę za mur graniczny” (7) i „Damy i Huzary” (5) przypisać trzeba chyba temu, że komedje te stanowiły tylko repertuar uzupełniający i wykonywane były dorywczo.

Dalsze dowody dobrego smaku i trafnego wycucia publiczność łódzka złożyła przez bardzo daleko posuniętą wstrzemięźliwość od uczeszczenia na ramoty takie, jak „N.O.S.” (9), „Papa” (5), „Pani Prezesowa” (5), „Fenomenalna umowa” (8), „Królowa Biarritz” (8), „Rajski ogród” (3) oraz wielce nieudany „Dar Poranka” (5). Jedne z nich pograżało w dodatku liche wykonanie, innych nie uratowało dobre. Wyjątek pod tym względem stanowią 19 przedstawień „Panny Flute” i 12 „Małgorzaty z Nawary”. Względne powodzenie tych sztuk należy do zagadek, jakich tak pełny jest nieuchwytny bądź-co-bądź w swych odruchach beżmienny tłum. Próbe wylumaczania tej zagadki stanowić może domniemanie, że „Panna Flute” zawdzięcza sukces początkowi sezonu, a „Małgorzata” politycznemu humorowi, mającemu swój urok swoisty.

Polityka również, lecz wespół z sensacją i dobrem wykonaniem, otworzyła drzwi teatru aż 21 razy „Spiskowi Carowej”. Pozbawiony polityki, choć nie mniej sensacyjny i wcale dobrze wykonany „Nieuchwytny” wytrwał tylko 12 razy na afiszu.

Dosyć dziwnem i prawdopodobnie mającym jakieś przyczyny zewnętrzne (pora, pogoda, konieczność zwolnienia obsady) wydawać się musi wobec tego ogólnego poziomu barometru zamiłowań publiczności, że „Moralność pani Dulskiej” doczekała się tylko 10, a aktualne „Aby żyć” tylko 11 przedstawień.

Naogół repertuar wydaje Dyrekcji Teatru świadectwo dodatnie. Na 32 sztuki (po odliczeniu widowisk dla dzieci) 9 utworów z wielkiego i trwałego repertuaru (w czem 3 komedje), 6 dramatów poważnych, 6 komedji o głębszych walorach literackich lub wykonawczych — to dorobek nienajgorszy. Gdy w dodatku uwzględnimy, że właśnie te sztuki wypełniły lwia część spektakli, pozostawiając znaczną ich mniejszość dla bezwartościowej farsy i sensacji — to stwierdzić można, że Dyrekcja Teatru Miejskiego dobrze zrozumiała swe zadanie i publiczność łódzką darzyła dobrą strawą duchową. Zapewne, że gdyby doliczyć jeszcze do tego repertuar Teatru Kameralnego, to powiększy się wprawdzie znacznie ilość fars, ale i ilość widowisk poważnych wzrośnie w pewnym stosunku. Zresztą nie mamy bynajmniej zamiaru przeko- nizować skreślenia farsy z repertuaru teatralnego — byle dobór był jak najstaranniejszy i wykonanie jak najlepsze i byle farsa nie wypierała widowisk, poświęconych dobrej literaturze dramatycznej, co niekoniecznie przecie jest równoznaczne z nudą.

Poziom wykonania utworów wystawionych był raczej dobry. Poszczególne uchybienia — częstsze w pojedynczych rolach, rzadsze w całości — nie zmieniają tego sądu. Wysiłki reżyserji i dekoratora zawsze były bardzo widome, dbałość o wygląd sceny niezmiennie zadawałająca, czasami nad wszelkie spodziewanie udatna.

Troskę Dyrekcji o wysoki poziom wykonania wykazują również liczne występy gościnne. W sezonie ubiegłym witaliśmy w Łodzi Junosze-Stępowskiego, Adwentowicza, Frenkła, Cwiklińską, Węgrzynę, Jaracza, Różyckiego, wreszcie bohatera ciekawego eksperymentu dwujęzycznego, Moissi'ego.

Wniosek ogólny: Dyrekcja traktuje swe zadania poważnie i nie podporządkowuje interesu sztuki interesom materialnym, co czyni ją godną otrzymywanej z kasy miejskiej subwencji. Publiczność lubi się zabawić, głównie jednak szuka w Teatrze głębszej strawy duchowej.

Teatr Kameralny, jako scena uzupełniająca, okazał się odpowiadającym potrzebom, którą zaspokajał zarówno w kierunku dobrej zabawy, jak i pokarmu literackiego.

Z tem wszystkim dyr. Gorczyński spoglądać może na sezon udany pod każdym względem, a publiczność ma wszelkie powody do zadowolenia, iż kierownictwo sceny w jego pozostało ręku.

Spodziewać się należy, że do jesieni większość publiczności zdoła zapomnieć i wybaczyć dyr. Gorczyńskiemu wykołajenie swego dobrego i zasłużonego zespołu artystycznego na tor rewjowy, na którym zespół ten czuł się tak bardzo nieswojo. Pouczajacem było w tem tylko, jak dalece bardzo dobrzy, dobrzy i niezli artyści mogą być jednakowo małowarci, gdy im się każe robić coś, czego nie umieją. Zmazanie dobrych wrażeń i wspomnień z sezonu zimowego przez ten wielce nieopatrzny krok Dyrekcji zasługiwałoby na nazwę lekkomyślności nie do darowania, gdyby zrozumiałe względy natury materialnej i inne jeszcze nie stwarzały okoliczności, w pewnym stopniu przynajmniej łagodzących winę. Ale tylko w pewnym stopniu.

emb.

STATYSTYKA MORDERSTW
W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

W jednym z czasopism amerykańskich znajdujemy następującą statystykę morderstw. W 122 miastach amerykańskich, liczących razem 35 milionów ludności, wypadło w roku 1927 po 10,4 morderstw na każdych 100 tysięcy głów ludności. W szczególności odsetek morderstw wynosi: w Memphis 69,3 na 100 tysięcy mieszkańców, w Birmingham 63, Jacksonville 55, Atlanta 43. Dla porównania przytoczono daty europejskie. I tak m. in. w Moskwie wypada 9,8 morderstw na 100 tysięcy mieszkańców a w Anglii przeciętnie 0,7.

Książki,

ŚWIAT W PŁOMIENIACH.

Antoni Marczyński — Świat w Płomieniach — Warszawa 1928. Nakład Towarzystwa Wydawniczego „Rój”.

Po pierwszych entuzjastycznych krytykach, ucichło jakoś o Marczyńskim. Nazwano go polskim Jackiem Londonem, wytrawny, bardzo sumienny i ostrożny krytyk, p. Debicki, pisał o nim nader pochlebnie, a wszyscy wróżyli mu świetną przyszłość i obrzymią poczytność jego książkom. Tak pisano, gdy na rynku księgarskim pojawiła się pierwsza książka Marczyńskiego „Czarna Pani”. Dziś, gdy Marczyński wykończył już kilka następnych powieści, gdy w kilku, a kto wie czy nie kilkunastu, pismach periodycznych drukują się w odcinkach powieściowych dalsze jego rzeczy, krytyka zamilkła. I zanoszą się na to, że się już nie odezwie. Bo obecna twórczość Marczyńskiego nie jest tego rodzaju, by potrafiła zainteresować poważniejszą krytykę. Nie jest i nie będzie Marczyński polskim Jackiem Londonem.

Jak dotychczas przypomina conieco Karola Maya. Od niego wziął pomysł pisania niezliczonej ilości pozornie zamkniętych w sobie powieści, w których jednak występują ci sami bohaterowie, od Maya wziął też sposób popularno-naukowego wykładu. Ale podczas gdy geografia, topografia i etnografia Maya jest bez zarzutu i w swoim czasie wywoływała zdumienie uczonych i podróżników, którzy pojąć nie mogli, by człowiek nie opuszczając swego rodzinnego miasta, mógł z tak zdumiewającą dokładnością i wiernością opisywać dalekie kraje, dając kompletny obraz topograficzno-etnograficzny, geografia Marczyńskiego wykazuje bardzo poważne braki i to nie tylko gdy chodzi o Afrykę. A już szczegóły topograficzne i etnograficzne, zawarte w tych powieściach, wołają niekiedy o pomstę do nieba.

Daleko także Marczyńskiemu do talentu narracyjnego Karola Maya. May pisał powieści podróżnicze i awanturcze dla młodzieży, a pisał je tak, że nie tylko młodzież pochłaniała je jednym tchem, ale i starsi zaczytywali się w nich. Efekt ten osiągnął May dzięki temu, że tła swoich powieści nie oddalał nigdy od rzeczywistości.

Fantazja powieściopisarza łączyła się w nim w idealny sposób z trzeźwością i realizmem uczonego.

Marczyński ma jednak mało danych po temu, aby stać się polskim wydaniem Karola Maya. Ma co prawda fenomenalną wprost łatwość opowiadania i budzenia uwagi czytelnika, ale brak mu zdolności zajęcia tej uwagi na dalszą metę. Inteligentny czytelnik bardzo szybko ostygła w zainteresowaniu dla opowiadania Marczyńskiego, spostrzegłszy, że fabuła stała się coraz bardziej podobna do taniego bujania naiwnych.

„Świat w Płomieniach” ma być powieścią z niedalekiej przyszłości. Tematem jej jest nowa wojna światowa. Temat niezmiernie interesujący, ale ponieważ przyszła wojna światowa, o ile wogóle wybuchnie, będzie wojną nauki i techniki, powieściowe traktowanie takiego tematu wymaga oprócz genialnej fantazji także i sporo wiadomości naukowych i technicznych, nie mówiąc już o dużej intuicji politycznej.

Zobaczmy jak Marczyński wyobraża sobie tę przyszłą wojnę światową: Pierwszym sygnałem będzie — jego zdaniem — przywrócenie monarchji w Niemczech. Na tron wraca oczywiście pustelnik i drwal z Doorn, ekskajzer Wilhelm (powieść z niedalekiej przyszłości). A zatem Marczyński przewiduje wybuch wojny już za kilka lat. Wiadomo bowiem, że Wilhelm dźwiga już siódmy krzyżyk i za trzy, a najdalej za pięć lat sam już myśleć nie będzie o powrocie do Berlina w roli cesarza. Zkolei następuje konflikt polsko-sowiecki. Dlaczego akurat polsko-sowiecki — Marczyński nie wyjaśnia. W kilku zdaniach wspomina o wykryciu przez polskie władze jakiegoś wielkiego spisku, w którym zamieszane jest poselstwo sowieckie w Polsce, a potem bez żadnych dalszych wyjaśnień zawiadamia czytelników, że poselstwo sowieckie opuszcza Polskę. Zaledwie pociąg sowiecki minął granicę polską, bez wypowiedzenia wojny, mamy atak powietrzny na Stołpcę, a nieco później na Warszawę. Wojny jednak ciągle jeszcze nie ma. Warszawa w gruzach, setki tysięcy ludności tracą życie w ciągu kilkunastu godzin bombardowania stolicy pociskami gazowymi i bombami, całe pogranicze polsko-sowieckie zniszczone, ale wojny formalnej nie ma. Prochy, mające wzniecić pożar światowy gromadzi Marczyński w kolonjach francuskich północnej Afryki... To już jest zbyt genialne i zbyt skomplikowane, by nie wzbudzić ziewania.

Nie lepiej od polityki wygląda technika Marczyńskiego. Wojna światowa toczy się

w niedalekiej przyszłości, w okresie najbliższych — powiedzmy nawet — dziesięciu lat. Marczyński tymczasem wprowadza na widownię arsenał techniczny, dla którego dzisiaj jeszcze nie ma żadnych zaczątków. Jakies cudowne maszyny latające, materiały wybuchowe o fantastycznej sile, gazy przedziwne, czarodziejską broń palną i t. p. i t. p. Zapomniał tylko powiedzieć, jak to ludzie do tego wszystkiego doszli. Poprostu twierdzi, że tak jest i już. Odnosi się wrażenie, że czyta się urywki z fascynujących fantazji technicznych współczesnego niemieckiego pisarza Hansa Dominika, który także opisuje wojny powietrzne w przyszłości, ale przedtem wyjaśnia w jaki sposób ludzkość doszła do takich wynalazków, na jakich zasadach te wszystkie cuda pracują, jakim pomysłem ludzie zawdzięczają te zdobycze.

To co opowiada Marczyński słyszy się czasem przy kawiarnianym stoliku, gdy pan Hipolit wyczytawszy w Kurjerku sensacyjną wiadomość o jakimś amerykańskim wynalazku puści wodze swej fantazji i opowiada jak to wszystko wyglądać będzie na świecie za sto lat: „Tramwaj — proszę państwa — jeździć będzie prościutko z Marszałkowskiej na księżyc”.

Marczyński umie opowiadać, umie tworzyć dramatyczne sytuacje, umie wprowadzać na scenę coraz to nowe postacie, nie ma jednak żadnych kwalifikacji ani zdolności do tej twórczości, jakiej się poświęcił.

Jego „Czarna Pani” wzbudziła szersze zainteresowanie i przyniosła mu ostrogi pisarskie, ale „Czarna Pani” jest powieścią sensacyjno-kryminalną. I dlatego w tej powieści talent narracyjny Marczyńskiego znalazł pole do popisu. Z tego powiniem Marczyński wyciągnąć właściwe wnioski i raz na zawsze wyrzec się pisania powieści egzotycznych i fantazyj przyszłościowych. Za mało posiada wiadomości, by taką powieść inteligentnie napisać. „Czarna Pani” będzie podobno nawet sfilmowana. I nic dziwnego, temat aż prosi się na film.

Byłaby wielka szkoda, gdyby Marczyński się zmarnował — a zmarnuje się na pewno, jeśli zdradzi „Czarną Panią” — jeśli nie wróci do powieści sensacyjno-kryminalnej lub awanturkowej, bez techniki i geografii.

Z.

FORD.

J. Berzin — Ford — Powieść z życia t.z.w. „Nepmanów” w Rosji sowieckiej. Warszawa, nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój”. Cena zł. 1.45.

Niezmiernie interesująca książka, dająca barwny i żywy obraz stosunków panujących w miastach rosyjskich, przypominających najgorsze czasy inflacji, reglementacji, zakazów i nakazów, cen maksymalnych i wytycznych, rekwiizycji, rejestracji i zajęć, jakie sami przeżyliśmy kilka lat temu.

Powieść nosi tytuł nie od amerykańskiego króla automobilowego, lecz od moskiewskiego spekulanta żyda, nazwiskiem Ford, przypominającego do złudzenia typy naszych inflacyjnych bogaczy i spekulantów.

Szkoda, że książka jest bardzo niestarannie wydana. Tłumaczenie dość podłe, a korekta skandaliczna. Poza tem należałoby broszurowane książki obcinać. Koszt niewielki, a książka wygląda o wiele lepiej, zwłaszcza, gdy życie jest niestaranne i każdy arkusz inaczej falcowany.

„Rój”, który dotychczas zwracał pilną uwagę na zewnętrzny wygląd swoich książek, powinien jaknajrychlej zastosować ten tan, a dobry zwyczaj.

* * *

W najtańszej serji „Roju”, w „Bibliotece Historyczno-Geograficznej” jako tom 99, 100 i 101, ukazał się szkic Viteliusa p.t. „Spowiedź szpiega pruskiego” oraz szkic historyczny prof. Janusza Iwaszkiewicza p.t. „Wielka Prowokacja”. Ten ostatni szkic zawarty jest w tomiku podwójnym (Nr. 100 i 101).

„Spowiedź szpiega pruskiego” jest według przedmowy spowiedzią polaka, noszącego nazwisko znane w Wielkopolsce, który przez długie lata zajmował stanowisko w tajnej policji pruskiej i stykał się często z polskimi sprawami. Niektóre szczegóły zawarte w tej książce stanowią istną rewelację i dotyczą często osób, żyjących dotychczas.

„Wielka Prowokacja” zawiera niezmiernie interesujące szczegóły, dotyczące prowokacyjnego rzekomego „Rządu Narodowego z roku 1865-ego.

Tomik ten jest zarazem jubileuszowym, setnym, tomikiem tej bardzo popularnej serji „Roju”.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE I KRONIKA

Nasz dostęp do morza

W tych dniach ukazała się nakładem tygodnika „Przemysł i Handel” (Warszawa, Elektra 2), obszerna książka p. t. „Morska Polityka Gospodarcza Polski”, Autorem tej książki jest p. Edward Bohdan. Jest to praca niezmiernie cenna i niezmiernie na czasie. Zagadnienie polskiej polityki morskiej wyczerpuje tak wszechstronnie, jak żadna dotychczas praca z tej dziedziny, a napisana jest przytem tak zajmująco i z takim talentem potraktowany jest olbrzymi materiał historyczny i statystyczny zawarty w niej, że czyta się to dzieło jak jakąś powieść. Zdaniem naszym praca p. Bohdana powinna być wprowadzona do wyższych klas szkół średnich, gdyż nie powinno być ani jednego Polaka, któryby na pamięć nie znał wszytkiego, co w niej powiedziano.

Artykuł niniejszy jest streszczeniem pierwszej części tej książki. W numerze następnym zamieścimy streszczenie części drugiej.

Jak to było kiedyś?

Za pierwszego historycznego władcy, Mieszka I, granica Polski opiera się o morze Bałtyckie na przestrzeni od ujścia Odry do ujścia Wisły. Za Mieszka II, około 1030 r. *Polska traci Pomorze*. Następuje okres walk o Pomorze i za *Krzywoustego Pomorze znów należy do Polski*. Pod koniec XII wieku Pomorze Szczecińskie przechodzi do Niemiec, a przy Polsce zostaje tylko *Pomorze Gdańskie*. Do roku 1295 Pomorze Gdańskie jest prowincją samodzielną i ma swoją własną dy następną, pozostającą w stosunku lennym do Polski. W tym roku umiera ostatni książę tej dynastji, *Mściwoj*, przekazując testamentem księstwo gdańskie *Przemysławowi II*, księciu Wielkopolskiemu. Tem samym *Gdańsk wchodzi w tym roku w skład państwa polskiego*.

W roku 1308 Pomorze zajmują Brandenburczycy, a w 1309 Krzyżacy, których w 1228 wprowadził do Polski książę Konrad Mazowiecki, aby nawracali pogańskich Prusaków. Po zajęciu Pomorza przez Brandenburczyków, Łokietek zwrócił się do Krzyżaków o pomoc. Krzyżacy zgodzili się usunąć z Pomorza Brandenburczyków za zwrot kosztów wyprawy, lecz gdy to uczynili, *zatrzymali Pomorze dla siebie*. Polska pozbawiona została dostępu do morza na 150 lat. Na Pomorzu rządził zakon krzyżacki, germanizując je i kolonizując.

Polska ani na chwilę nie ustaje w walce o odzyskanie Pomorza. *Władysław Łokietek* próbuje pokojowo załatwić sprawę. Nie udaje się to *nawet przy pomocy Papieża*, który rzuca klątwę na zakon krzyżacki. *Władysław* próbuje siłą orężną odzyskać Pomorze, również bezskutecznie. Zwycięstwo pod Płowcami w 1331 daje mu tylko część Kujaw i Dobrzyń. *Kazimierz Wielki* również ucieka się do pomocy papieskiej i również bezskutecznie. Władca ten, rozmiłowany w twórczej pracy pokojowej, zawiera wreszcie pokój z *Krzyżakami* i *zrzeka się tytułu władcy Pomorza w roku 1343*.

Walkę na nowo podejmuje *Władysław Jagiełło* i kończy ją zwycięstwem pod *Grunwaldem* w roku 1410. Zwycięstwo to nie zwraca jeszcze Polsce Pomorza, gdyż nie mogło być wyzyskane z powodu najazdu cesarza, pretendentą do ręki Jadwigi. Ale w roku 1414 wojna rozpoczyna się na nowo i trwa do 1423. W 10 lat później wybucha nowa, która kończy się długoletnim rozejmem.

Wojny te nie zwracają Polsce Pomorza, zagrabionego przez Zakon, ale *drugą potęgę militarną i polityczną Zakonu*. Na Pomorzu zaczyna szereg się ruch wywoleńczy („Związek Jaszczurczy”) i w roku 1454 *wybucha powstanie*. Powstańcy ślą do Polski po pomoc. Wybucha nowa, trzynastoletnia, i ostatnia tym razem wojna, *zakończona pokojem w Toruniu* (1466), który *wraca Polsce Pomorze*. Polska odzyskuje Pomorze wraz z Gdańskiem, Ziemią Chełmińską i Michałowską, Malborg, Sztum, Elbląg, Tolkmint i powiat Krzyszburski, czyli *całe Prusy Królewskie*. Reszta terytorjum, z Królewcem, pozostaje w rękach Zakonu jako Prusy Książęce i stanowią lenno korony polskiej.

Gdańsk, jako miasto handlowe i portowe, pojawia się na widowni przy końcu XIII stulecia. Należy do potężnego *Związku Hanzeatyckiego*, który w rękach swoich monopolizuje cały handel morski. Z tego tytułu *Gdańsk rządzi się swymi własnymi prawami* i jest miastem prawie że niezależnym. Formalnie

nie tylko należy do Polski, praktycznie zaś niewiele ma wspólnego z wewnętrznym i państwowym życiem Polski. Całą swoją potęgę i bogactwo czerpie z Polski, skupiając w swoich rękach handel zbożem i drzewem, spławianiem z Polski do Gdańska i zdobywając z biegiem czasu od Polski *przywilej monopolu* w tym handlu. Dzięki temu *już w XVI wieku staje w rzędzie największych portów świata*, a na Bałtyku *dzierży w swoich rękach trzy piąte całego handlu morskiego*. W drugiej połowie XVII wieku *Gdańsk liczył 77 tysięcy ludności był tem samym największym miastem środkowej Europy*. O bogactwie Gdańszczyzny krążyły legendy, w Gdańsku skupiają się największe bogactwa polskie.

Najważniejszy przywilej Gdańska głosił, że towar, przywieziony do Gdańska, *może być sprzedany tylko Gdańszczaninowi*. Dawało to kupcom gdańskim monopol w handlu zamorskim. Gdańsk mógł również wydawać *zakazy wywozu zboża*, by zapobiegać drożyznie lub brakowi zboża u siebie. Nadużywanie tego prawa *do duszenia cen zboża*, w którym to celu posługiwano się jeszcze *innymi sztuczkami*, jak np. zamykanie portu na pewien czas, aby za bezcen skupować zapasy, czekając w berlinkach na Wisłę na otwarcie portu. Sprzedając zboże po 140 zł. kupowali je w najlepszym razie po 95, a szlachci polski z tej ceny płacił jeszcze na rzecz Gdańska składowe, opłaty portowe i t. p., w rezultacie czego za zboże uzyskiwał najwyżej 75 do 85 złotych.

Sprawa tych uciążliwych przywilejów Gdańska poruszana była niejednokrotnie na sejmach polskich, ale *Gdańsk nie sobie z tego nie robił*. Sam dobrowolnie przyłączył się do Polski, chociaż zamieszkały był przez ludność niemiecką, przechodzącą i kalkulując trafnie, że *pod panowaniem Polski zachowa najłatwiej swoje przywileje i swoje odrębne stanowisko*. Interesy Rzeczypospolitej obchodzili go też zawsze tylko o tyle, o ile łączyły się z jego interesami kupieckimi.

Były więc ze strony Polski *próby złamania monopolowego stanowiska Gdańska* i uczynienia go powolniejszym wobec Polski. *Stefan Batory rozpoczyna budowę portu w Elblągu* i osiedla tam kompanie handlowe angielskie. *Elbląg rośnie jak na drożdżach i odbiera Gdańskowi coraz większą część handlu morskiego*. Gdańszczanie używają wszelkich środków, aby unieszkodliwić Elbląg. Zatapiają u wejścia do portu Elbląskiego 60 okrętów, aby uniemożliwić zagranicznemu okrętom przybijanie do tego portu, ślą poselstwa do króla polskiego, protesty i błagania, wreszcie *zwracają się do obcego władcy o interwencję*, mianowicie do króla duńskiego. Po półwiekowej walce z Elblągiem, *Gdańsk zwycięża*, Elbląg, po wyprowadzeniu się zagranicznych kompanij handlowych, które gdańszczanie zpowrotem do siebie ściągają, szybko upada.

Nie dopuścił również Gdańsk do powstania polskiej marynarki handlowej, której zaczątki były, gdyż niektóre polskie domy kupieckie (Fukierowie i t. p.) posiadały swoje własne statki, które wyprawiały do dalekich krajów. Gdańsk uniemożliwił rozwój tej marynarki tak jak potrafił wykreślić z rąk polskich cały handel zamorski. Polskie towary i polskie zboże docierało do najdalejzych portów świata, *ale pod flagą gdańską i na gdańskich okrętach*. Świat flagę gdańską uważał za polską...

Nie dopuścił także Gdańsk do powstania floty wojennej polskiej. Zresztą w Polsce nigdy silniejszego zainteresowania dla floty wojennej nie było. Nie było go i dla morza... *Zygmunt August organizuje flotę w czasie wojny z carem o Inflanty*. W roku 1556 *trzy polskie okręty wojenne, uzbrojone w armaty i obite blachą miedzianą, wyruszają na Bałtyk, aby blokować nieprzyjacielskie wybrzeże*. Dzięki zdobyciom wojennym liczba statków wzrasta do 18. Po zakończeniu wojny Gdańszczanie nie ustają w prośbach i błaganiach *skłaniając króla, by flotę wojenną rozpuścił*.

Były później także jeszcze czynione próby stworzenia floty wojennej: *Henryk Walezy i Stefan Batory zobowiązali się nawet przy wstąpieniu na tron do stworzenia floty*, ale wojny lądowe nie pozwoliły spełnić im tego zobowiązania. *Zygmunt Waza buduje 9 statków, które odnoszą świetne zwycięstwa nad Szwedami*. *Władysław IV buduje port wo-*

Bawełna

Fenomenalne zbiory bawełny w roku 1926 spowodowały silny spadek cen. Gdy cena spadła do 12.46 cent. przepowiadano już ogólnie, że cena bawełny nigdy już nie osiągnie takiego poziomu, przy którym opłacałoby się uprawianie jej. Zaczęto już zastanawiać się nad środkami zaradczyimi, mówiono o waloryzacji ceny bawełny, o akcji pomocy dla plantatorów i t. p. Tymczasem już z początkiem roku 1927 ceny podniosły się znacznie i zaczęły ustalać się na tym wyższym poziomie. Równocześnie kupy i fabrykanci zaczęli dochodzić do przekonania, że chwila jest najbardziej odpowiednia, by się zopatrzyć w zapasy tego surowca. Pokryli też całe swoje zapotrzebowanie na czas dłuższy po wyjątkowo korzystnej cenie, a nadwyżka, która pozostała na rynku przeszła w ręce tych, którzy chcieli i mogli zczekać na zwykłą cenę. Wielkie zapasy taniego surowca, jakie znalazły się w posiadaniu fabrykantów *zachęciły ich do wzmocnienia produkcji*, dzięki czemu spożycie bawełny amerykańskiej zaczęło tak raptownie wzrastać, że w sierpniu ub. roku, t. j. przy końcu roku bawełnianego (nowa bawełna pojawia się na rynku od września), *spożycie światowe doszło do nienotowanych jeszcze nigdy rozmiarów*.

Zbiory w roku 1927 stały pod znakiem fatalnych warunków atmosferycznych. Olbrzymie wylewy w rejonie Mississipi opóźniły bardzo znacznie zasiew bawełny w tym pasie, w innych zaś okolicach wiosna w tym roku była chłodna i wilgotna. W Texas deszcze wiosenne przyczyniły się ponadto do wzmocnienia się kleski owadów. To też w lipcu zaczęło się serjo niepokoić o wyniki zbiorów, a pod wpływem tych obaw nastąpiła *silna wyższa cen*, która objęła także i *wyroby bawełniane*, w rezultacie czego przemysł miał w sierpniu ubiegłego roku osobny zysk na różnicy w cenie bawełny posiadanej na składzie, a cenie giełdowej, branej pod uwagę przy kalkulacji towaru. *A konjunktura na wyroby bawełniane była świetna*. Handel zamawiał towary na trzy i cztery miesiące naprzód — sposób od dawna niepraktykowany w tej gałęzi handlu, w której zapotrzebowanie pokrywa się zawsze w ostatniej chwili „z ręki do ust”. Ceny bawełny, które już w czerwcu wynosiły 16.50 cent. doszły do 23 centów za funt, t. j. do poziomu, który nie mógł się pod żadnym pozorem utrzymać z chwilą nadejścia nowej bawełny na rynki. Mimo to rynek nie był przygotowany na wstrząs, jaki spowodowało sprawozdanie Departamentu Rolnictwa, ogłoszone w pierwszych dniach września, a stwierdzające, że należy oczekiwać większego spadku cen. Sprawozdanie to wywołało efekt piorunujący: Niemal natychmiast przestano kupować wyroby bawełniane, czekając na zapowiedzianą oficjalną niżkę. Przewodnie również wstrzymały zakup surowca, a gdy napływać zaczęły zapasy z nowych zbiorów ceny zaczęły spadać. Trwał ten spadek przez całą jesień, t. j. przez okres czasu, gdy farmerzy najbardziej potrzebują gotówki. I mimo, że zbiory zeszłoroczne dały tylko 13 milionów bel, t. j. o 5 milionów bel (32.5 proc.) mniej niż w ro-

jenny w Pucku i na Helu. I już się zdaje, że Polska zwróciła swoją uwagę na morze i znacznie nareszcie tutaj szukać drogi do potęgi, *gdy zapal gdańskie ze śmiercią Władysława IV*. Gdańszczanie korzystają z odwrócenia uwagi społeczeństwa polskiego od spraw morskich i *niszczą i rujną porty wojenne i arsenały polskiej marynarki w Pucku i na Helu*. Dzieło zniszczenia doprowadzają do końca Szwedzi i flota wojenna polska upada, tym razem bezpowrotnie...

Dawna Rzeczpospolita, zadawalniając się formalną przynależnością Gdańska, pozostawiła mu wszystkie swoje sprawy i interesy morskie. Poza kilkoma momentami w historii Rzeczypospolitej, gdy to dzięki przenikliwości wielkich swoich mężów, zdobywała się Rzeczpospolita na energiczniejsze kroki wobec Gdańska, a nawet na czynny, aby budować swoją własną potęgę morską, historia dawnej Rzeczypospolitej mówi nam tylko o *zupelnej apatii i obojętności wobec morza*, jako czynnika mocarstwowej potęgi państwa. Energję naszą, nasze siły, pragnienie władzy i potęgę wyładowywaliśmy na dzikich polach i... pod Wiedniem.

To też jako obszarem Gdańska brzegi polskiego morza pozostały dzikie i mało dostępne...

K. Tyr.

ku 1926, ceny utrzymywały się na poziomie tylko nieznacznie wyższym niż w roku najobfitszego zbioru, *jaki kiedykolwiek oglądano w Ameryce*, pomimo, że spożycie było nadal bardzo duże.

Zbiory zeszłoroczne według ostatecznych obliczeń dały 1.278.900 bel po 500 funtów brutto (bela zwierza 478.4 funtów bawełny, 21.6 funt. waży opakowanie) czyli funtów 6.118.527.000 netto. Zbiory w roku 1926 dały 17.977.000 bel. Według oficjalnego sprawozdania z końca marca r. b. do tego czasu wypuszczono na rynek 12.777.505 bel.

Rezultat finansowy ubiegłego roku wyraża się cyfrą 1.253.599.000 dolarów, według cen, płaconych farmerom w dniu 1 grudnia ub. roku (19,6 centa). Olbrzymie zbiory z roku 1926, obliczone w ten sam sposób, przedstawiały wartość zaledwie 982.736.000 dolarów, gdyż cena za funt w dniu 1 grudnia 1926 roku wynosiła 8,7 centa mniej niż w roku 1927. W rezultacie przeto plantatorzy przy gorszych zbiorach zeszłorocznych uzyskali znacznie lepsze wyniki finansowe.

Sytuacja na rynku bawełnianym ulegała dal szej systematycznej poprawie, a to nietylko dzięki gorszym zbiorom w Ameryce i innych krajach produkujących bawełnę, ale także *dzięki silnemu rozwojowi światowego spożycia tego surowca*. W ostatnich 18 miesiącach *spożycie bawełny przekroczyło wszystkie dotychczasowe rekordy* i to pomimo silnego rozwoju fabrykacji włókien syntetycznych (sztuczny jedwab i inne) oraz mimo *favoryzowania przez modę innych tkanin* do wyrobu bielej niż tkaniny bawełniane. W Ameryce, gdzie ostatnie przyczyny szczególnie silnie działają, mimo to *spożycie wyrobów bawełnianych było trzykrotnie większe niż w Europie*. Same fabryki opon samochodowych zużyły w ostatnim roku pół miliona bel bawełny, *ćwierć miliona poszło na worki dla handlu kolonialnego*, a 100 tysięcy bel na worki do cementu.

Gros światowego zapotrzebowania bawełny pokrywa Ameryka, jakkolwiek i w innych częściach świata bawełna także jest uprawiana. Składają się na to różne przyczyny, między innymi najważniejsza jest ta, że w Ameryce istnieją *najlepsze meteorologiczne i klimatyczne warunki dla uprawy bawełny*, podczas gdy gdzieindziej jak np. w Egipcie, Turkestanie, Transkaukazji i Indjach trzeba stosować *szuczne nawadnianie*.

Decydujący wpływ na rynek światowy wywiera bawełna amerykańska i indyjska podawana w największych ilościach. Po niej idzie bawełna egipska, chińska i rosyjska. Pięć tych grup stanowi 95 procent światowej produkcji. Ważnym dla handlu momentem jest jeszcze ten, że wszystkie te centra uprawy leżą *na północnej półkuli* i zbiory ich dojrzewają w mniej więcej jednym czasie. Amerykańska bawełna wchodzi na rynek około pierwszego grudnia, zbiory chińskie, egipskie i rosyjskie przychodzą wtedy, gdy rynki zalane są już bawełną amerykańską.

Od 31.I 1926 r. do 31.I 1927 r. zużyto na całym świecie 25.072.000 bel bawełny, w czem: 14.179.000 bel amerykańskiej, 5.605.000 indyjskiej, 964.000 egipskiej, 4.324.000 różnego innego pochodzenia.

W Stanach Zjednoczonych w roku ubiegłym czynnych było 32.531.000 wrzecion (Polska 1,5 miliona), na których przeprowadzono 104 i pół milarda wrzecionogodzin, a w ostatnich 6 miesiącach po dzień 1 lutego 1928 roku, zużyto 3.625.000 bel bawełny, czyli o 6 procent więcej jak w tym samym okresie ubiegłego roku. Światowe spożycie w tym samym sześciomiesięcznym okresie wynosiło 12.987.000 bel, o 2 procent więcej jak w roku ubiegłym. W roku kalendarzowym 1927 Stany Zjednoczone zużyły 7.406.637 bel wobec 6.683.649 bel w roku 1926.

Zbiory tegoroczne nie zapowiadają się o wiele lepiej niż w roku ubiegłym; braku bawełny jednak obawiać się nie należy, mimo *olbrzymiego rozwoju przemysłu bawełnianego na całym świecie*, gdyż zapasy, które w chwili obecnej znajdują się na świecie (na dzień 1 lutego 1928 roku wynosiły 15.882.000 bel) są tak duże, że nawet przy gorszych zbiorach braku tego surowca się nie odczuje. Ale dlatego też nie należy się spodziewać, że ceny utrzymają się na dotychczasowym poziomie bez większych wahań, zwłaszcza w dół.

W. P.

Rynek pieniężny i giełda

Obrót na giełdzie dewiz wahał się w tygodniu ubiegłym między 350 a 400 tysięcy dolarów dziennie. Całe zapotrzebowanie pokrywał prawie wyłącznie Bank Polski. Dewizy New-Jork notowano 8,90, dolary na nielicznym tylko zebraniach 8,88. Bank Polski płacił za dolary 8,86, za dewizy 8,88. Transakcje kablem New-Jork przeprowadzono między bankami przeważnie na 8,91. Na rynku prywatnym utrzymywały się dolary na poziomie 8,88—8,88 i ćwierć. Za ruble złote płacono 4,64 i pół — 4,65. Bank Polski płacił za monety złote: ruble 4,58, M. n. 2,12, Kor. 1,80, Unje łac. 1,72, Dolary 8,91, Funt 43,38, Funt. tur. 39,16, Kor. skandynawskie 2,38, Flor. hol. 3,58, Dukaty wszelkie 20,38, gram czystego kruszcu 5,92;

Monety srebrne: rub. n. st. 2,75, starego st. 2,29, M. n. 0,76, Unje 0,63, Kor. 0,63, 5-cio koronówki 0,66, 5-cio frankówki 0,68, Flor. 1,69.

Dewizy europejskie wykazywały stosunkowo niewielkie wahania. W środku tygodnia notowano: Bruksela 124,20, Amsterdam 358,70, Londyn 43,33 i pół, Paryż 34,91 i ćwierć, Praga 26,42, Zurych 171,67 i pół, Stokholm 238,05, Gdańsk 173,40, Berlin 212,85. Czerwonice sowieckie uległy dalszej niższe. Płacono za nie ostatnio w obrotach prywatnych 2,90—2,85 dol.

Na rynkach światowych zaszły w ostatnim okresie ciekawe zmiany. Ostatnia podwyżka stopy dyskontowej przez 4 Federalne Banki Rezerwowe Stanów Zjednoczonych z 4 i pół na 5% spowodowała z jednej strony wyższą prywatną stopę procentową w Ameryce (za pieniądze dzienne płać tam obecnie 5 i pół do 8%, gdyż w styczniu r. b. jeszcze 4 do 4 i pół proc., a za dyskonto dwumiesięcznej akceptów bankowych 4 i pół proc., podczas gdy w styczniu 3 i pół proc.— z drugiej zaś strony silny odpływ kapitałów amerykańskich z Anglii i Niemiec. Szczególnie dotkliwie dała się podwyżka dyskonta amerykańskiego we znaki Anglii, gdzie odąd pierwszy raz po wojnie światowej stopa procentowa jest o pół proc. niższa od stopy w New-Jorku. W związku z tym wykazuje funt angielski silniejsze osłabienie. Stan główniejszych rachunków Banku Angielskiego przedstawiał się na dzień 4 lipca b. r. w funtach szterlingów następująco: zapas złota 173.428.234, weksle rządowe 28.768.885, prywatne 79.741.187, wkłady publiczne 19.686.680, prywatne 126.829.091, obieg banknotów 137.166.490, rezerwa absolutna 56.011.744, rezerwa stosunkowa 38,74 proc. Bank Belgijski obniżył swą stopę dyskontową wobec wielkiej płynności rynku, do 4%, a mówią już o mającej wkrótce nastąpić niższe do 3 i pół proc., czyli w ostatnim wypadku stopa dyskontowa Banku Belgii zrównałaby się ze stopą Banku Francuskiego. W bilansie Banku Francuskiego na dzień 25 czerwca b. r. uwidocznione zostały już zmiany, jakie nastąpiły w związku z wprowadzeniem nowej jednostki monetarnej, 1 frank równy 65,5 miligramów złota próby 900 (1000). Bank przeprowadził przewalutowanie tych pozycji swego bilansu, w których księgowane były kruszce i dewizy wprowadził do bilansu pozycje pożyczek reportowych w dewizach oraz znajdujących się w posiadaniu Banku weksli zagranicznych. Ponadto dług Skarbu Państwa, odład bezprocentowy, ustalony został w maksymalnej wysokości 3.200.000.000 fr. Obliga rządów zagranicznych, zdyskontowane Skarbowi przez Bank, przejęła Kasa Amortyzacyjna, która w zamian za nie wydała Bankowi własne skrypty dłużne. Stan główniejszych rachunków Banku Francuskiego przedstawiał się na dzień 29 czerwca b. r. czyli już po przeprowadzonych zmianach w tysiącach franków następująco: zapas złota 28.990.033, rachunki bieżące zagranicą 15.559.114, pożyczki reportowe w dewizach 8.935.624, portfel wekslowy 3.582.659, weksle i чеки zagraniczne 11.686.441, obieg biletów 60.628.094, rachunek Skarbu Państwa 4.555.401, rachunek Kasy Amortyzacyjnej 1.932.985, wkłady prywatne 4.924.828, rezerwa stosunkowa 40,04 proc. W najbliższych dniach ma być podpisany układ w sprawie pożyczki dla Rumunii w kwocie 80 milionów dolarów. Pożyczka wyłożona będzie do subskrypcji w jesieni, przedtem jednak rząd rumuński ma otrzymać większą zaliczkę.

Na rynku akcyjnym panowała w okresie sprawozdawczym podobnie jak w poprzednich tygodniach zupełna stagnacja. Obróty jeszcze bardziej się obniżyły, gdyż dość znaczna część członków kulis była na zebraniach nieobecna, banki zaś brały w grę giełdowej minimalny tylko udział, wskutek braku zleceń zarówno krajowych jako też zagranicznych. Poza to ważną przyczyną obecnego chwilowego zastoju jest dotkliwa ciasnota gotówkowa, która wpływa hamująco na rozwój transakcji. Stosunkowo największe obroty dokonywane były w tygodniu ubiegłym Bankiem Polskim i Staracho-

Gdynia — Gdańsk

„Deutsche Arbeiter-Zeitung” bije na alarm z powodu szybkiej rozbudowy portu w Gdyni, która dowodzi, że Polska poważnie kroczy naprzód w stworzeniu własnego portu dla niezależnienia się od konkurencji Gdańska. Argumenty i fakty, które powyższe pismo przytacza, są dla Polski wysoce pochlebne i uświadamiają zagranicę o naszych dążnościach w kierunku ekspansji gospodarczej.

„Wielokrotnie mieliśmy już sposobność — pisze „D. A. Z.” — „wskazać na systematyczną, przed żadnymi środkami nie cofającą się, politykę Polski, dążącą do usadowienia się nad Bałtykiem i przez zaprawę błyskawiczną rozbudowę Gdyni, jako portu konkurencyjnego dla Gdańska, zmusić stare to hanzeatyckie miasto do podjęcia na kolana. Wydany przed krótkim czasem przez zarząd portowy plan dzisiaj gotowej i na przyszłość zamierzonej rozbudowy tej polskiej placówki morskiej, musi być niespodzianką nawet dla tych, którzy to niebezpieczeństwo dla starego, niemieckiego Gdańska bardzo poważnie oceniali. Rozbudowa, faworyzowana przez wszelkie możliwe korzyści naturalnego położenia, jak wystarczającą głębokość wody bez większych prac pogłębiających, ochrona przed wiatrem bez kosztownych budowli, wielka przestrzeń, nadająca się do jednolitego wykorzystania, rozpoczęła się w r. 1924 przez francusko - polskie konsorcjum. Na właściwe urządzenia portowe prelimitowano 35 milionów, na elektryfikację, komunikację i t. d. 15 milionów złotych. Roboty, czasowo wskutek inflacji wstrzymane, zostały w 1927 r. przy pomocy polskiego rządu i nowego kredytu w złotych frankach ponownie energicznie podjęte i przyspieszone. Port zewnętrzny, leżący przed wybrzeżem, chroniony jest przeciw falom zapomocą lamacza w formie wielkiego łuku; wjazd do portu, przedzielony budową w ten sposób, że port wojenny, zresztą oddzielony osobnym molo, jest od północy zamknięty. Z naturalnym portem zewnętrznym łączy się bagerowany port wewnętrzny — a nadający się do szerokiej rozbudowy kanał portowy wrzyna się na dwa kilometry w ląd. Baseny portowe o 1000 mrt. długości już powstają, a w większych rozmiarach planowane są do 1930 roku.

Gdynia sama, nadająca nowemu portowi bałtyckiemu nazwę, była przy końcu wojny wsia rybacką, licząc około 300 mieszkańców. Dzisiaj liczy już 6.000, a dokąd zamierzenia polskie idą, wykazują plany rozbudowy, obliczone na 100.000 mieszkańców. Do końca 1930 roku przewidziane są dla tych polskich planów ekspansyjnych środki w wysokości 51 milionów franków złotych, z czego 16 mil. franków zł. przypada na 1928 r. Przewidziany jest port o powierzchni wodnej około 190 hektarów i 4.500 metrów brzozy przy 8—10 metrów głębokości wody, 36 kilometrów szos, 15.000 m² brukowanych ulic, 8.000 brukowanych placów, 40.000 m² krytych składów, elewator zbiorowy na 15.000 ton, chłodnie i wszelkiego rodzaju urządzenia komunikacyjne. Fakt, że ruch portowy w Gdyni już w 1927 r. z przychodem 433.000 netto ton rejestrowanych, prawie dosięgnął Kłajpedy i wywalczył sobie uwagi godne miejsce między portami Bałtyku, należy ocenić tylko jako wstępny przegrywkę. W 1928 r. prawdopodobnie osiągnie około 2 milionami ton już wszystkie porty bałtyckie z wyjątkiem Szczecina.

Aczkolwiek ruch towarowy, zwłaszcza importowy, nie da się skierować w określone tory wyłącznie tylko rozbudową portu, to jednak przyzwyczajają się on ostatecznie do nowostworzonych dróg i wygodnych warunków załadowania. I w tem właśnie leży, dzięki francuskim pieniądzą, ogromna wyższość nowych, polskich planów co do portu polskiego. **Bez wątpienia, Gdynia oznacza niebezpieczeństwo dla niemieckich portów bałtyckich.** A ujawnienie tego niebezpieczeństwa bez skrupułów, znaczy już bronić się przeciw niemu.

Dr. M. S.

wicami. W grupie pożyczek państwowych większe wahania wykazywała jedynie 5% Prem. Poż. Dolarowa. Listy zastawne miały usposobienie spokojne.

Spółki akcyjne wypłacają za rok 1927 następujące dywidendy: „Superfosfat” S. A. z siedzibą we Lwowie, 5% dywidendy i 25% superdywidendy, S. A. „Brzeskiano” w Poznaniu z czystego zysku w kwocie złotych 284.544,02 — 6% dywidendy, czyli 0,60 od każdej akcji 5-cio złotowej, „Rolindustria” S. A. 10% dywidendy, t. j. 2 zł. od każdej akcji 20-to złotowej, „Olów” w Strzybnicy dywidendę w wysokości 4%. Bank Przemysłowców Łódzkich S. A. z czystego zysku w kwocie zł. 163.029 dywidendę w wysokości 10 proc.

Awil.

Krótkie wiadomości gospodarcze

W francuskim ministerstwie handlu powołano do życia wydział doradczy dla traktatów handlowych. W wydziale tym reprezentowane będą nie tylko różne ministerstwa ale także przemysł, handel przywózowy i wywozowy, rolnictwo i różne związki gospodarcze i kolonialne. Wydziałowi temu będą przedkładane wszystkie w przygotowaniu znajdujące się traktaty handlowe, a mianowicie tak wawczas, aby był w stanie przed zawarciem traktatu przedkładać odpowiednie propozycje.

* * *

Rada naczelna austriackiego banku narodowego na posiedzeniu swym w dniu 18 bm. podwyższyła stawkę dyskontową z ważnością od dnia 17 lipca r. b. z 6 na 6 i pół proc., a odpowiednio do tego stawki przy transakcjach pożyczkowych również o pół proc. Krok ten okazał się koniecznym w związku z podwyższeniem stawki dyskontowej w Nowym Jorku.

* * *

Według informacji „Algemeen Handelsblad”, władze sowieckie dokonały w ostatnich dniach dalszych zakupów pszenicy zagranicą, a mianowicie: w Hamburgu, Genui, Antwerpii, Rotterdamie i Londynie. W Rotterdamie ponownie wyciągnięto z rynku 8.000 ton, a w Londynie zakupiono 20.000 ton, leżących jeszcze w Ameryce Północnej, które stamtąd będą transportowane wprost do rosyjskich portów. Ze strony rosyjskiej oświadcza, że dalsze zakupy już nie będą miały miejsca, jednak w sferach handlu zbożowego sądzą, że Rosja w krótkim czasie ponownie wystąpi jako odbiorca zagranicznego zboża.

* * *

General Motors Corp. zakłada w Indjach fabrykę i w tym celu nabyło zakłady fabryczne w Bombaju. Z Brukseli donoszą, że firma ta w Antwerpii, a mianowicie w północnej części portu, stworzy nowe zakłady, które przedewszystkiem będą służyły dla montażu samochodów. Zakłady te, które będą się rozciągały na obszarze 66.000 m², kosztują 45 milionów franków. Zatrudnionych będzie w nich 4000 robotników.

* * *

Amerykański eksport maszyn i narzędzi ręcznych stale się zwiększa. W pierwszych pięciu miesiącach r. b. eksport wzrósł o 9,33 milj. na 43,72 miliony dolarów.

* * *

Na posiedzeniu delegatów „Współpracy Handlu Detalicznego” w Hamburgu, jednogłośnie odrzucono zasadę wszelkiego rodzaju rabatów. Ustaliło się bowiem przekonanie, że przez udzielanie rabatów powoduje się złudzenie i wprowadza w błąd publiczność co do rzeczywistej wartości towaru. Udzielanie rabatów należy uważać za niezgodne z zasadami poprawnej kalkulacji i ustanawiania cen.

* * *

W nowojorskich sferach handlowych panuje wskutek podwyższenia stawek dyskontowych pewne zaniepokojenie. Aczkolwiek podwyżka stawki w pierwszym rzędzie skierowana była przeciw spekulacji, daje się to odczuć w sposób nieprzyjemny na krótko przed okresem silniejszego zapotrzebowania pieniędzy w związku z ruchem, panującym po zbiorach i z zapoczątkowaniem interesu jesiennego. Zwłaszcza małe koncerty są tem dotknięte, gdyż większe są w stanie pokryć swe zapotrzebowanie jesiennie z własnych środków, które ulokowane są przejściowo na dzień wypowiadzenia. Wzrost odsetek spowodował nietylko opóźnienie nowych emisji, ale wysunęło na pewien okres projekty budowlane i rozszerzenie zakładów w przedsiębiorstwach przemysłowych.

* * *

Według wiadomości z Genui, pewne medjołańskie towarzystwo zamierza w możliwie krótkim czasie uruchomić linię lotniczą między San Remo a Monachium, przeznaczając na ten cel 4 aeroplany. Oczekują, że spowoduje to wielki ruch pasażerski i że linia ta da zyski z przewozu kwiatów z nad morza Liguryjskiego na rynki północno - europejskie.

PREMJOWANIE MATEK zamiast imigracji.

Na mocy ustawy o macierzyństwie z 1912 roku (Commonwealth Maternity Act), matka, która powiła dziecko na terytorjum Rzeszypospolitej Australijskiej, otrzymuje 5 funtów szterlingów tytułem jednorazowego świadczenia. Świadczenie przysługuje matce niezależnie od jej stanu majątkowego i bez względu na to, czy dziecko jest zrodzone w małżeństwie, czy też jest nieślubne. Pozbawione są możliwości korzystania ze świadczeń obywatelki australijskie, które otrzymują pomoc z innych źródeł, oraz osoby pochodzenia azjatyckiego.

Niemiecki przemysł włókienniczy

Przemysł włókienniczy niemiecki skupia się w Niemczech środkowych, gdzie na terenie Saksoni i przyległych krajów związku Rzeszy niemieckiej znajduje się 65 procent przedsiębiorstw tego przemysłu a pracuje 50 procent ludzi, w tym przemysłe zatrudnionych. Ta środkowo-niemiecka grupa przemysłu włókienniczego przeżywa obecnie okres stagnacji po okresie świetnej konjunktury zeszłorocznej, w czasie której ilość przedsiębiorstw włókienniczych w tej grupie powiększyła się do 71,974, a liczba zatrudnionych w nich robotników z 358,522 do 423,713.

W przemyśle bawełnianym, który o tej porze posiadał zwykle zamówienia do końca października, zamówienia wystarczają w tym roku w najlepszym razie na dwa miesiące pracy. Przedalnicy skarżą się na bardzo liczne wypowiedzenia zawartych kontraktów, opiewających na dłuższe terminy i na słaby dopływ nowych zamówień. Zauważyć się to daje szczególnie w eksporcie. Od lutego ceny materiałów bawełnianych nie uległy zmianie mimo, że cena surowca podniosła się w tym czasie. To samo dotyczy przędzalni. Przemysł pomocniczy (farbiarnie, wykończalnice, drukarnie itp.) pracują z rezerwą po cztery dni w tygodniu.

Podobna sytuacja panuje w przemyśle wełnianym. Tylko w przemyśle północno-zachodnim panowało do niedawna silne ożywienie z powodu dużych zamówień na eksport. W Anglii zapowiadano wprowadzenie cła na północno-zachodni bawełniany i kupcy angielscy poczynili wielkie zamówienia pod warunkiem, że wykonane zostaną przed wejściem w życie przewidywanych cł. To też północno-zachodni pracownicy gorączkowo. Projekt cł został jednak przez parlament angielski odrzucony, dzięki czemu rozpoczęto w tej gałęzi silną redukcję robotników.

W związku z tem w sferach kompetentnych przewidują w sezonie zimowym, o ile sytuacja radykalnie się nie poprawi, poważne trudności płatnicze. Dotychczas trudności te jeszcze nie występują, gdyż przemysł posiada znaczne rezerwy, nagromadzone w roku ubiegłym.

Kryzys zmusza przemysłowców do rozpaczliwych wysiłków dla wyszukania zagranicznych rynków zbytu na swoje wyroby. Głównymi odbiorcami zagranicznym są obecnie: kraje skandynawskie, Holandia, Austria, Bałkan i Ameryka południowa. Stany Zjednoczone kupują w większych ilościach tkaniny wełniane (welur - ulster). Wielkie zapotrzebowanie na niemieckie towary wykazuje Rosja sowiecka, jednak rządowy monopol handlu zagranicznego w Rosji nie dopuszcza na rynek rosyjski towarów gotowych w tej ilości, jaką rynek ten mógłby wchłonąć.

Aby zwiększyć zbył zagranicę, fabryki nie wahają się udzielać długoterminowych kredytów, rezygnując z wszelkiego zysku, a nawet narażając się niekiedy na stratę, byle tylko nie stracić kontaktu z rynkiem danego kraju i utrzymać fabrykę w ruchu.

Najczęściej stosowane warunki płatności są następujące: Rachunek wystawia się w dniu wysyłki towaru. Jeżeli zapłata następuje w ciągu 30 dni od daty rachunku i w gotówce, potrąca się 2 proc. skonta i 8 proc. odsetek za gotówkę w stosunku rocznym. Jeżeli umówiona została zapłata w ciągu 60 dni od daty rachunku, bonifikuje się tylko procenty. W razie przekroczenia terminu płatności sprzedający liczy 10 proc. odsetek za zwłokę w stosunku rocznym.

Przemysł włókienniczy niemiecki zdradza niezwykle silne dążności ekspansywne. Czeka się tam wszędzie niecierpliwie na zawarcie traktatu handlowego z Polską, po którym przemysł, zwłaszcza włókienniczy bardzo wiele sobie obiecuje, gdyż dotychczas zakazy przywozu, utrzymywane w mocy przez Polskę, zamykają dlań rynek polski, na którym mógłby konkurować z przemysłem polskim.

Szczegół ten należy w Polsce wawczasu brać pod uwagę. W razie zawarcia traktatu ofensywna niemieckiego przemysłu na rynek polski będzie tak gwałtowna, że przemysł polski nie będzie w stanie się jej oprzeć.

A. J.

Według danych statystycznych za okres roczny, zakończony dnia 30 czerwca 1927 r., 132,056 osobom wypłacono świadczenia w ogólnej sumie 660,280 funtów szterlingów; 1,122 zgłoszenia nie zostały uwzględnione. W czasie od 10 października 1921 r., t. j. od wejścia w życie ustawy, do 30 czerwca 1927 roku zaakceptowano ogółem 1,952,640 zgłoszeń o świadczenia, odrzucono zgłoszeń 8,535. Ogólna kwota wypłaconych świadczeń wyniosła 9,763,198 funt. szt.

U W A G I

WSPOMNIENIA.

W „Kurjerze Porannym” p. Antoni Anusz publikuje dalszy ciąg swoich wspomnień z okresu pierwszego sejmiku, dotyczących stosunku tego sejmiku do ówczesnego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego.

P. Anusz nawiązuje do głośnej sprawy insygnjów królewskich, o których kradzież otwarcie posądzono Naczelnika Państwa i wytoczono dochodzenie pod nadzorem p. Trąpczyńskiego. Marszałek w swej mowie, wygłoszonej w Sali Malinowej po złożeniu urzędu Naczelnika Państwa, uskarżając się na potworny stosunek sejmiku do jego osoby, tak o tem mówił:

„...zacytuję tylko kilka faktów, takich potwornych, dziękuję, że trudno pojąć, z jakiej kadzi nieczystości zarazki trzeba wyobraźnię, by podobne rzeczy wymyśleć.

Reprezentant narodu, wybrany przez wszystkich, reprezentujący wszystkich — kradnie! Zbiera się komisja sejmowa, aby szukać skradzionych przez tego reprezentanta insygnjów królewskich. Komisja sejmowa, obradująca pod egidą czy pod kierownictwem marszałka Sejmu, szuka, śledzi, bada, poszukuje skradzionych przez tego reprezentanta rzeczy! Czy Panowie coś bardziej potwornego, coś bardziej wstępnego, coś bardziej oplutego pomysłu możecie? Czy można mieć reprezentanta tego rodzaju? Pomyślcie sobie to gdzieś indziej, wśród wolnych swobodnych narodów — nasz reprezentant — złodziej!”

Dalszem „nadużyciem” Piłsudskiego było przyjęcie przezeń stopnia i tytułu Marszałka Polski dnia 19 marca 1920 r.

19 marca 1920 r. Minister Spraw Wojskowych J. Leśniewski przedstawił w Belwedrze Naczelnemu Wodzowi J. Piłsudskiemu Ogólną Komisję weryfikacyjną, powołaną na mocy art. 14 ustawy z dnia 2-go sierpnia 1919 r. o ustaleniu starszeństwa i nadaniu stopni oficerskich w wojsku polskim. Imieniem tej ogólnej komisji weryfikacyjnej przemówił najstarszy rangą oficer, meldując, że wspomniana komisja na pierwszym konstytuującym zebraniu uchwaliła prosić Naczelnego Wodza, aby zechciał przyjąć najwyższy stopień wojskowy Pierwszego Marszałka Polski.

Naczelnny Wódz wyraził swoją zgodę. Posłowie: Książd Maciejewicz, ksiądz Lutostawski, Stanisław Grabski i ich przyjaciele polityczni nie mieli większego zmartwienia, nie widzieli na widnokręgu naszego życia politycznego faktów bardziej godnych zainteresowania poselskiego, bardziej groźnych dla bezpieczeństwa państwa, niż te „bezprawia” J. Piłsudskiego.

Wreszcie wytoczono sprawę stopnia Marszałka na jednym z posiedzeń komisji Wojskowej. Na odno-

sną interpelację odpowiadał major Platowski, odpowiedział rzeczowo, z dużym taktem. W wyniku tej dyskusji na Komisji Wojskowej otrzymałem następujące pismo od Marszałka W. Trąpczyńskiego z datą 11 czerwca 1920 r.

Do Pana Przewodniczącego Komisji Wojskowej.

Jak mi doniesiono, na jednym z ostatnich posiedzeń Komisji Wojskowej, któryś z zastępców Ministerstwa Spraw Wojskowych twierdził, że jeneracja nadesłała mi latem 1919 r. wniosek do Sejmu o zamianowanie p. Naczelnika Państwa Marszałkiem Polski, a że z mej strony wniosek ten pozostał bez odpowiedzi.

Relacja ta jest mylną. Wniosek podobny nadszedł był rzeczywiście, podpisany w imieniu jeneracji przez Pana Ministra Leśniewskiego.

Ja wniosek ten przedłożyłem w Konwencie Senjorów. Tam klub Ludowo - Narodowy (liczący wówczas dwadzieścia i kilku posłów) oświadczył się przeciw wnioskowi, uznając go za zbyt wczesny.

Oświadczyłem natychmiast w Konwencie, że zwrócę wniosek p. Ministrowi Leśniewskiemu, objaśniając go, że w tym stanie rzeczy lepiej będzie wniosek chwilowo wstrzymać. Tak też uczyniłem.

Trąpczyński.

To „chwilowo” trwało długi szereg miesięcy;

sprawa jednak znalazła swoje załatwienie na innej drodze, o której wspominałem.

Wysoce znamienem było to ociąganie się czynników sejmowych z załatwieniem wniosku jeneracji. I tutaj właśnie tkwi cała moralna potworność stosunku pewnego odłamu polityków sejmowych do Józefa Piłsudskiego!

J. Piłsudski był Naczelnym Wodzem; miał prawo dysponowania życiem, zdrowiem i mieniem wielkiej masy obywateli państwa w imię osiągnięcia zwycięstwa, od którego zależało samo istnienie powstającego państwa. W tych warunkach należało zrobić wszystko, aby w duszę żołnierzy wszczepić przeświadczenie, że Józef Piłsudski jest człowiekiem wielkiego charakteru i niezwykłej siły ducha, że jest tym wodzem, do którego wyjątkowych zdolności wojskowych każdy żołnierz winien mieć ślepe, nieograniczone zaufanie.

Mógł jakiś tępawy poseł o duszy okaleczonej lub zgola zdechłej nie rozumieć tego, że J. Piłsudski był duszą i sercem wojska, lecz nie mógł nie uznawać tego obiektywnego faktu, że Piłsudski był Naczelnym Wodzem, a zatem zajmował najbardziej odpowiedzialne stanowisko w armii. Zewnętrznym wyrazem tego wyjątkowego stanowiska Piłsudskiego w wojsku powinno być przyznanie mu najwyższego stopnia w hierarchii wojskowej.

Nie zrobiono tego, aczkolwiek odnośna uchwała sejmowa w uroczysty sposób powzięta przyczyniłaby się do zwiększenia autorytetu Wodza w oczach żołnierzy, a zwłaszcza w oczach korpusu oficerskiego, który był demoralizowany przez polityków sejmowych, wygrywających niejednolitość tego korpusu pod względem pochodzenia dla swoich celów partyjnych.

Posłowie z Konwentu Senjorów tego nie rozumieli, natomiast dogadzała ich próżność rola Komisji egzaminacyjnej dla określenia kwalifikacji wojskowych Józefa Piłsudskiego.

Zwłaszcza rola egzaminatora zdolności wojskowych J. Piłsudskiego przypadła do gustu W. Trąpczyńskiemu. Pamiętamy jak tę rolę sprawował W. Trąpczyński w roku 1920 po wiekopomnym zwycięstwie nad bolszewikami i jak ją sprawował w Senacie na krótko przed wypadkami majowymi roku 1926.

Zaprawdę długo, bardzo długo J. Piłsudski był „cierpliwością, tą panią niedoli, co gmach swój stawia z niczego powoli”. Gdy się przepeliła miara Jego cierpliwości, stał się „dla podłych tylko i faryzeuszów groźbą, gniewem, lub świętem milczeniem”.

Kwiatki

WNIOSEK O WYCOFANIE TOWARZYSZA Z POD PRĘGIERZA.

Swego czasu przedrukowaliśmy w „Włókniarzu” notatkę, wzywającą robotników do bojkotowania jednego z ich kolegów za to, że dobrowolnie pracował dłużej niż 8 godzin, a gdy delegat związku zawodowego zabronił mu pracować, zagroził mu, że go obje.

Obecnie znajdujemy w tym samym „Włókniarzu” epilog tej sprawy w postaci listu do redakcji, który w dosłownym brzmieniu przytaczamy:

Szanowny Towarzyszu Redaktorze!
Za pośrednictwem Waszego poczytnego piśma pragnę podać do wiadomości ogółu robotniczego, iż tkacz naszej fabryki Stefan Stokowski, postawiony pod pręgierz opinii robotniczej, we włókniarzu, z dnia 15. I. 28, za nadrabianie godzin, wbrew uchwałom robotników, wyraził wobec ogółu robotników szczery żal i przeprosił ich za groźenie delegatowi „rozbiciem i ba członkiem”

Wobec powyższego prosimy Was o wycofanie tow. Stokowskiego z pod pręgierza.

Z socjalistycznym pozdrowieniem

K. Trojanowski
(delegat fabryki Epszteina, Kilińskiego 230)

KARPATY

SPRZEDAŻ PRODUKTÓW NAFTOWYCH
SPÓŁKA Z OGR. POR.

RAFINERIE GALICYSKIEGO KARPACKIEGO-NAFTOWEGO T.A.

BENZOLINA

ODDZIAŁ W ŁODZI ul. 6go SIERPNIA 7.
Tel. 14-70 i 48-74.

OLEJE AUTOMOBILOWE KARPAT zyskały nagrody najwyższe na ostatnim targu międzynarodowym — i na II targu Pań w Polsce —

VIOLET HUNT.

„Są rzeczy okropniejsze od upiorów...”

I.

— O, pani Arne, o moja droga, niechże pani już idzie! To nie do zniesienia! Panno Kate, proszę ją wyprowadzić! — nagliła pielęgniarka ze wzruszeniem.

— Tak, Alicjo, pani Joyce ma słuszość. Chodź, bo się rozchorujesz. Już po wszystkim — nic nie poradzi! — błagała siostra pani Arde, drżąc ze zdenerwowania.

Przed kilku minutami dr. Graham zdjął był rękę z pulsu Edwarda Arna ruchem beznadziejnym.

Pielęgniarka westchnęła profesjonalnie, młoda szwagierka zakryła twarz rękoma. Żona krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się na ciało zmarłego. I oto leżała przy nim, wstrząsana okropnym sżlochem.

Nie wiedzieli, co z nią począć. Doktor bębnił palcami po stole. Dziewczyna lekliwie dotknęła ramienia siostry.

— Idźcie, idźcie! — krzychała tamta, głosem ochryplym ze zmęczenia i rozpacz.

— Niech jej pan da pokój, panno Kate; może lepiej zostawić ją samą, — szepnęła pielęgniarka, zniżając knot w lampie. P. Arne uniosła zalaną łzami twarz.

— Co! jeszczeście tu? Na miłość Boga, idźcie! Nikogo mi nie trzeba! Dajcie mi godzinę — pół godziny — pięć minut! Chcę pomówić z mężem!

Błagalnie wyciągnęła ręce do lekarza.

— Ha... — szepnął, jakby sam do siebie. Dał znak kobietom, by szły za nim. — Niech panie co przekaszają, — rozkazująco rzekł im w kurytarzu. — Będziemy z nią mieli dużo jeszcze kłopotu.

*) W oryginale tytuł brzmi The Prayer. Przekład nieco skrócony.

Pani Arne z westchnieniem ulgi zagrzebała twarz w poduszkach, mocniej przywarła całym ciałem do ciała nieboszczyka i trwała tak bez ruchu. Jej łkanie ucichło.

...Lampa pełgnęła i zgasła. P. Arne rozejrzała się bezradnie, zaczęła ponownie opadała na posłanie i przytknęła wargi do ucha zmarłego.

— Edwardzie... mój jedyny... czemuś mi opuścił? Nie mogę zostać bez ciebie — wszak wiesz, że nie mogę! Jam za młoda. Zaślubiłeś mnie dopiero przed rokiem. Nie chcę, nie mogę żyć bez ciebie. Chcę z tobą umrzeć.

— Nie — nie mam prawa — muszę żyć, aż urodzę twoje dziecko. Ty go nigdy nie zobaczysz. Czyż nie chcesz go urzucić? Edwardzie! Gdzieś ty? Przemów — na miłość Bożą!

— Mój jedyny, śpiesz się! Już nie mam siły czekać. Pomyśl! dali mi tylko pół godziny! Potem przyjdą i zabiorą mi cię tam... gdzie nie mogę pójść z tobą. Tam tak strasznie... nędzne drzewka mokną we mgle... upiornie sinieją lampy gazowe. Czyż mógłbyś tam zostać sam — sam — beze mnie?

— Pomniesz? przyrzekaliśmy sobie, że który z nas pierwsze umrze, wróci — jako duch — opiekować się pozostałym. Jakiemiż byliśmy dziećmi! Nie wiedzieliśmy, co to śmierć. A teraz nic, nic, gorzej niż nic! Nie chcę twego ducha — chcę twych oczu, twych ust, twych pocałunków!

Zarzucała sobie na szyję jego martwe ramiona — Kochaj mnie! Czym ci niemila? To ja, to „a!”

— Ale twoje ramie jest zimne. Całuję cię — ty mi nie oddajesz pieczyoty. Edwardzie — tyś martwy!!! Na Boga! pocałuj mnie —

jeden jedyny raz. Co mam począć Często się modłę... Och, jeżeli jest Bóg i jeśli kiedy wysłuchał modłów, to niech wysłucha moich. O nie więcej przynędy Go błagać nie będę, lecz niech mi cię odda! Bądź znów taki, jakim byłeś — jakiegom cię kochała — jakiegom ubóstwiała! Bóg mu s i wysłuchać. Musił Boże, Boże, to mój mąż, mój kochanek — oddaj mi go!

Zawodowe sumienie nie dawało pielęgniarkę spokoju. — Zgórz pół godziny sam na sam z trupem! Niewiedzieć co! — sarknęła wreszcie.

— Sza, pani Joyce, już do niej idę, — rzekł doktor. Lekko uchylił drzwi.

— Co to, co to? — wrzasnęła p. Arne. — Doktorze! proszę mnie nie ruszać! Albo jam martwa, albo on — żyje!

— Dość tego! — zawołał z umyślną surowością. — Chce się pani zabić? Proszę odejść!

— Żyje! żyje! — powtarzała.

— Niestety — nie. Zmarł przed godziną.

Niech pani patrzy! — To mówiąc, dotknął policzka nieboszczyka.

Policzek był zimny! Lekarz odruchowo namacał puls. — Cy! — zawołał, nie wierząc własnym zmysłom. — Moja droga p. Arne — spokoju!

Ale p. Arne opadła zemdlna. Siostra, pośpiesznie przywołana, zajęła się nią, podczas gdy Graham i pielęgniarka, z szalonym wysiłkiem i jakby przemocą, przywodziли domniemanego nieboszczyka z powrotem z za progu śmierci.

II.

— Czemu, Alicjo, zawsze ubierasz się czarno? Wszak to nie żałoba? — pytała Estera Grahamówna, jedyna córka doktora i jedyna przyjaciółka pani Arne.

Siedziały przy herbacie w ponurym salonie Arnów w Chelsea. Estera była jedyną osobą, która ich odwiedzała. Przed sześciu laty pani Arne była w ciągu jednej godziny

„wdową”. W końcu śmiertelnej napozór choroby, mąż jej przez godzinę leżał jak martwy. Gdy zgał i w sposób niewyjaśniony wrócił do życia, wrazenie omal nie zabiło p. Arne. O tem wszystkim Estera słyszała od ojca, sama zaś poznała p. Alicję dopiero gdy ta powiła córeczkę.

Błada i rozstrągniona kobieta, śledząca matowem okiem płomień kominka, milczała. Panna Graham czekała kilka minut, cisza stawała się nieznośną. — Alicjo, odezwij się! — poprosiła.

— Ach, wybac, Estero! Zamysliłam się.

— O czym?

— Sama nie wie.

— Zapewne! Czemuś się gryziesz, unikasz ludzi — tak można zdziwiać. Przysięgłabym, że dziś nie wychodziłaś z domu?

— Tak... nie... zdaje się. Jest tak zimno.

— Nie, doprawdy, nabawisz się w ten sposób choroby. Spójrz na siebie!

P. Arne posłusznie przejrzała się w trumeau. — Owszem, wyglądam nieszczęśliwie, — przyznała.

— I nie dziw. Żywcem się zagrzebujesz.

— Tak, czasem mi się zdaje, iż żyję w grobie. Miewam wrazenie, że to nie sufit, lecz wieko trumny.

— Dajże pokój — chociażby przez wzgląd na Dolly! To źle, że dziecko zawsze cię widzi w takim nastroju.

— Estero! — zawołała nieco żywiej, — nie czyni mi wyrzutów. Spodziewam się, że nie jestem złą matką!

— Wiem, moja droga, że wzorowa z ciebie matka i żona; ale gdybyś sama dla siebie starała się być troszkę weselszą? Może to mieszkankę wpływa na twe przygnębienie? Powinnabyś więcej wychodzić.

— Nie lubię... opuszczać męża.

— Tak, tak, wiem, że jest chorowity, ale czyż cię nigdy nie puszcza? A sam, czyż nigdy nie wychodzi z domu?

— Bardzo rzadko.

— Czemu nie trzymacie przynajmniej kota lub psa?

Nr. 13174/A. „Juda Flameholc”. Sklep kolonialno - galanterijny. Firma istnieje od 1 kwietnia 1928 roku, Główno. Właściciel Juda Flameholc, Główno. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dniu 23 lutego 1928 roku za Nr. rep. 360 przed notariuszem w Łodzi, Apolinarem Karnawalskim, między Judą Flameholcem a jego żoną Rywką Małką z Niewiadomców, ustalona została wyłączność majątku.

Nr. 13175/A. „Władysław Szmidt” — piwiarnia. Firma istnieje od 16 kwietnia 1928 roku, Łódź, ulica Tramwajowa 3. Właściciel Władysław Szmidt, Łódź, ulica Tramwajowa 3. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13176/A. „Ida Milkowska” — sprzedaż galanterji i kosmetyki. Firma istnieje od 31 marca 1928 r., Łódź, ul. Sienkiewicza 34, Właścicielka Ida Milkowska, Łódź, ul. Sienkiewicza 34, Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13177/A. „Izrael Gerszonowicz” — krawiec. Firma istnieje od 1924 r., Łódź, ul. Traugutta Nr. 8. Właściciel Izrael Gerszonowicz, Łódź, ul. Traugutta Nr. 8 Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13178/A. „Józef Karlikowski” — sprzedaż resztek manufaktury. Firma istnieje od 1927 roku, Łódź, ul. Napiórkowskiego 39. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13179/A. „Szaja Czarnolewski” — sprzedaż przędzy. Firma istnieje od 1 stycznia 1926 r., Łódź, ul. Piotrkowska 58. Właściciel Szaja Czarnolewski, Łódź, ul. Cegielniana 64. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13180/A. „Icek Grünis”. Sprzedaż papieru. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 60. Właściciel Icek Grünis, Łódź, ul. Piotrkowska 60. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13181/A. „Szajndla Chmielnicka”. Sklep tytoniowy. Firma istnieje od 1927 r., Łódź, ul. Główna 31. Właścicielka Szajndla Chmielnicka, Łódź, ul. Główna 31. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13182/A. „Abram Ferster” — sprzedaż jedwabiu i manufaktury bawełnianej. Firma istnieje od 25 maja 1920 r., Łódź, ulica Piotrkowska 71. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13183/A. „Michał Jedynak” — sklep spożywczy. Firma istnieje od 28 czerwca 1927 r., Łódź, ul. Targowa 67. Właściciel Michał Jedynak, Łódź, ul. Targowa 67. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13184/A. „Gustaw Hintz” — sklep spożywczy, sprzedaż piwa, wyroby tytoniowe. Firma istnieje od 1 lipca 1926 r., Łódź, ul. Nowo-Zarzewska 66. Właściciel Gustaw Hintz, Łódź, ul. Nowo-Zarzewska 66. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13185/A. „Teofil Janiszewski” — kinoteatr. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, ul. Rzgowska 94. Właściciel Teofil Janiszewski, Łódź, ulica Rzgowska 94. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13186/A. „Stanisław Janczak” — sklep tytoniowy i materiały pisarskie. Firma istnieje od 28 marca 1925 r., Łódź, ul. Przejazd 84. Właściciel Stanisław Janczak, Łódź, ul. Przejazd 84. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13187/A. „Abram Kaliksztajn” — zakład krawiecki. Firma istnieje od 1 lipca 1926 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 64. Właściciel Abram Kaliksztajn, Łódź, ulica Piotrkowska 64. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dniu 1 kwietnia 1914 roku za Nr. 793 przed Notariuszem w Warszawie Władysławem Rudnickim między Abramem-Ickiem Kaliksztajnem a jego żoną Chają z Broniców ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13188/A. „Lajb Hirszman” — sklep spożywczo - kolonialny. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku, Łódź, ul. Rzgowska 80. Właściciel Lejb Hirszman, Łódź, ul. Rzgowska 80. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13189/A. „Józef Jankowski” — sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1 marca 1927 r. Łódź, ulica Kilińskiego 55. Właściciel Józef Jankowski, Łódź, ul. Kilińskiego 55. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13190/A. „Stanisław Izydorczyk” — sprzedaż trumien zwyczajnych. Firma istnieje od 1913 r., Łódź, ul. Napiórkowskiego 37. Właściciel Stanisław Izydorczyk, Łódź, Napiórkowskiego 37. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13191/A. „Antoni Kowalczyński” — cukiernia. Firma istnieje od 1912 roku, Łódź, Narutowicza 31. Właściciel Antoni Kowalczyński, Łódź, ul. Narutowicza 31. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13192/A. „Anna Jastrzębska” — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1920 r. Łódź, ul. Suwalska 16. Właścicielka Anna Jastrzębska, Łódź, ul. Suwalska 16. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13193/A. „Franciszka Goślińska” — biuro pośrednictwa pracy. Firma istnieje od 1913 r. Łódź, Sienkiewicza 20. Właścicielka Franciszka Goślińska, Łódź, Sienkiewicza 20. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13194/A. „Jankiel Frydman”. Drobnny zakup starych metali. Firma istnieje od 1925 r. Łódź, Kilińskiego 87. Właściciel Jankiel Szaja Frydman, Łódź, Kilińskiego 87. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13195/A. „Adam Krawczyk” — sklep spożywczo - kolonialny. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r. Łódź, ul. Grabowa 26. Właściciel Adam Krawczyk, Grabowa 26. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13196/A. „Helena Kajl” — drobna sprzedaż galanterji i materiałów piśmiennych. Firma istnieje od 1924 r. Łódź, Kilińskiego 205. Właścicielka Helena Kajl, Kilińskiego 205. Na mocy aktu intercyzy zeznanego w dniu 20 lutego 1922 r., za Nr. rep. 266 przed

notariuszem w Łodzi Janem Andrzejewskim między Heleną z Przybyszewskich Kajl a jej mężem, Hermanem Kajlem, ustalona została wspólność majątku.

Nr. 13197/A. „Boruch Kalma Szymio” — sprzedaż chustek i podszewek własnego wyrobu. Firma istnieje od 1927 r. Łódź, Nowomiejska 11. Właściciel Boruch-Kalma Szymio, Łódź, Nowomiejska 11. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dniu 13 września 1917 r. za Nr. rep. 2643 przed notariuszem w Łodzi, Włodzimierzem Kosińskim, między Boruchem Kalma Szymio, a jego żoną Surą-Libą Geldhorn, ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13198/A. „Wanda Henisch” — sklep kolonialny. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 r., Łódź, Częstochowska 10. Właścicielka Wanda Henisch, Łódź, Częstochowska 10. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13199/A. „Aleksandrowianka”, wł. Pinkus Lipszyc” — drobna sprzedaż pończoch. Firma istnieje od 30 marca 1928 r., Łódź, Nowomiejska 26. Właściciel Pinkus Lipszyc, Łódź, Nowomiejska 26. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dniu 19 stycznia 1928 roku za Nr. rep. 361 przed notariuszem w Łodzi Janem Krzemieniowskim między Pinkusem Lipszycem, a jego żoną Małką z Geczyńskich ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13200/A. „Dawid Frank” — tkalnia zarobkowa. Firma istnieje od 1925 r., Łódź, Konstancyńska 15. Właściciel Dawid Frank, Łódź, Konstancyńska 15. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13201/A. „Robert Glass” — sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 15 maja 1928 r., Łódź, Zeromskiego 93. Właściciel Robert Glass, Łódź, Zeromskiego 93. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13202/A. „Dawid Gorzoleczany” — drobna sprzedaż mięsa i drobiu. Firma istnieje od 1893 r. Łódź, Sienkiewicza 37. Właściciel Dawid Gorzoleczany, Łódź, Sienkiewicza 37. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13203/A. „Bolesław Grabowski” — drobna sprzedaż galanterji. Firma istnieje od 17 maja 1927 r. Łódź, Napiórkowskiego 27. Właściciel Bolesław Grabowski, Łódź, Napiórkowskiego 27. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dn. 7 lutego 1927 za Nr. rep. 294 przed notariuszem w Łodzi, Stefanem Kornem, między Bolesławem Grabowskim a jego żoną, Elżą z Wittwerów, ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13204/A. „Karol Grynig” — drobna sprzedaż artykułów kolonialnych i spożywczych. Firma istnieje od 1 lipca 1925 r. Łódź, Dąbrowska 5. Właściciel Karol Grynig, Łódź, Dąbrowska 5 Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13205/A. „Aron Lajb Gotesgnaden” — drobna sprzedaż kapeluszy damskich i męskich. Firma istnieje od 1918 r. Łódź Główna 41. Właściciel Aron Lajb Gotesgnaden, Łódź, Główna 62. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13206/A. „Izrael Mordka Perl” — drobna sprzedaż manufaktury bawełnianej. Firma istnieje od 1 lipca 1927 roku, Łódź, Nowomiejska 3 Właściciel Izrael Mordka Perl, Łódź, Zachodnia 53. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dniu 5 stycznia 1928 r. za Nr. rep. 67 przed notariuszem w Łodzi, Janem Krzemieniowskim, między Izraelem Mordką Perl, a jego żoną Chaną-Rywką z Cynamonów, ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13207/A. „Jankiel Holand” — sprzedaż materiałów piśmiennych i galanterji. Firma istnieje od 1925 r. Łódź, Skwerowa 20. Właściciel Jankiel Dawid Holand, Łódź, Skwerowa 20.

Nr. 13208/A. „Hinda-Perla Wolberg” — sklep kolonialno - spożywczy i nabiał. Firma istnieje od 1 kwietnia 1928 r. Łódź, Wschodnia 21. Właścicielka Hinda-Perla Wolberg, Łódź, Pomorska 33. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13209/A. „Ida Hauser” — sklep kol.-spożywczy. Firma istnieje od 1900 r. Łódź, Składowa 40. Właścicielka Ida Hauser, Łódź, Składowa 40. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13210/A. „Marja Finke” — piwiarnia. Firma istnieje od 1923 r. Łódź, Skwerowa 20. Właścicielka, Marja Finke, Łódź Skwerowa 20, róg Składowej. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13211/A. „Aleksander Czamański” — agencja. Firma istnieje od 1903 r. Łódź, Moniuszki 1. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

13212/A. „Irena Górecka” — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r. Łódź, Grabowa 29. Właścicielka Irena Górecka, Łódź, Grabowa 29. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13213/A. „Stanisław Pazowski” — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1922 r. Łódź, Słowiańska 14. Właściciel Stanisław Pazowski, Łódź, Słowiańska 14. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13214/A. „Anna Gosińska” — sklep spożywczo - kolonialny. Firma istnieje od 1924 r. Łódź, Suwalska 9. Właścicielka, Anna Gosińska, Łódź, Suwalska Nr. 9. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13215/A. „Lajbusz Melszpaś” — wyrób towarów włókienniczych. Firma istnieje od 1 kwietnia 1928 roku. Łódź, Cegielniana 37. Właściciel Lajbusz

Melszpaś, Łódź, Kamienna 7. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13217/A. „Natalja Gorzkiewicz” — sklep spożywczo - kolonialny. Firma istnieje od od 1926 r. Łódź, Dąbrowska 35. Właścicielka Natalja Gorzkiewicz, Łódź, Dąbrowska 35, Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13218/A. „Walerja Budziarek” — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, Skwerowa 16, Właścicielka Walerja Budziarek, Łódź, Skwerowa 16. Intercyzy nie zawarła.

Bilans zamknięcia

na 31 grudnia 1927 r.

ZAKŁADÓW WŁÓKIENNICZYCH

Karol T. BUHLE w Łodzi

Spółka Akcyjna

Stan czynny	Złote i grosze	Stan bierny	Złote i grosze
Nieruchomości	2,006,283.01	Kapitał akcyjny	2,520,000.—
Maszyny i urządzenia, środki komunikacji i inwentarz biurowy	4,927,683.76	Kapitał zapasowy	190,000.—
Kasa	121,113.42	Kapitał amortyzacyjny	1,134,237.48
Weksle	628,845.31	Kapitał zapasowy pozastatutowy	593,921.71
Protesty	42,453.65	Wierzyciele, akcepty i traty	9,168,707.43
Papiery wartościowe	41,430.—	Sumy przechodnie	57,056.08
Dłużnicy	3,288,295.08	Zysk: pozostalosc zysku z roku 1926	694.75
Banki	1,149,342.59	za rok 1927 1,483,922.46	1,484,617.21
Remanent	2,943,093.09		
	Zł. 15,148,539.91		Zł. 15,148,539.91

Rachunek Strat i Zysków

Winien	Złote i grosze	Ma	Złote i grosze
Koszta ogólne, handlowe, dyskont i podatki	3,394,463.44	Zysk na fabrykacji, farbowaniu i wykończeniu towarów	5,198,280.91
Odsetki i różnice kursowe	294,400.51	Pozostalosc zysku z roku 1926	694.75
Różne straty	25,494.50		
Zysk: pozostalosc z roku 1926	694.75		
Za rok 1927 1,483,922.46	1,484,617.21		
	Zł. 5,198,975.66		Zł. 5,198,975.66

Akcyjne Towarzystwo Przemysłowe

„MARKUS KOHN” w Łodzi

Bilans na dzień 31 grudnia 1927 r.

Stan czynny	Złote i grosze	Stan bierny	Złote i grosze
Place	232,474.—	Kapitał akcyjny	5,000,000.—
Budynki fabryczne	1,375,993.—	„ amortyzacyjny	1,590,925.76
Domy mieszkalne	39,900.—	„ zapasowy	70,000.—
Maszyny	4,771,597.80	Wierzyciele	4,840,054.05
Urządzenie biurowe	6,235.—	Zabowiązania długoterminowe przedwojenne	1,458,136.99
Kasa i weksle	1,372,072.27	Dywidenda niepodniesiona	100.—
Banki	1,749,568.52	za 1927 r.	150,000.—
Remanenty	2,442,875.23	Zysk do przeniesienia	20,526.65
Papiery procentowe	69,450.21		
Dłużnicy	1,070,077.42		
	Zł. 13,129,743.45		Zł. 13,129,743.45

Rachunek Strat i Zysków

Zysk brutto	2,432,507.46
Podatki i opłaty stemplowe	Zł. 352,885.70
Świadczenia socjalne	52,033.51
Pensje	294,250.01
Koszty handlowe i procenty	459,248.34
Zysk netto	Zł. 1,274,089.90

Podział zysku

Na umorzenie reszty strat z 1925 r.	Zł. 139,793.25
„ kapitał amortyzacyjny	893,770.—
„ zapasowy	70,000.—
Dywidenda	150,000.—
Do przeniesienia na 1928 r.	20,526.65
	1,274,089.90

Cheesz Dirzycmac Posadę?

Musisz ukończyć kursa fachowe, korespondencyjne prof. Sekulowicza, Warszawa, Żorawia 42. Kursa wycuzaja listownie: buchalterji, rachunkowosci kupieckiej, korespondencji handlowej, stenografji, nauki handlu, prawa, kaligrafji, pisania na maszynach, towaroznawstwa, angielskiego, francuskiego, niemieckiego, pismo wni, (ortografji). Po ukończeniu swiadectwo. Ządajcie prospektów.